

DROGA

Kolekcja
Emila Kornasia

N11

WIESIECZNIK

D R O G A

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

ROK 1935

ROK XIV

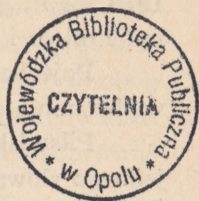
Nr. 11

T R E Ś Ć

Artur Śliwiński: Moi kandydaci na premiera. Ze wspomnień o Józefie Piłsudskim	909
Władysław Studnicki: Jan Kucharczyński, historyk i socjolog	926
Mikołaj Łęski: Materializm dialektyczny w Z.S.R.R. (II)	936
Kamena Lwowska, Henryk Balk, Jan Fedyk, W. J. E. Korabłowski, M. Lisiewicz, Stanisław Rogowski: Wiersze	949
André Gide: Persefona. Melodramat. Przełożył Roman Kloniecki	955
Nuchim Bomse: Wiersze	971
Stefan Napierski: Poezja Ważyka	973
Emil Bobrowski: Sprawa Stanisława Brzozowskiego. Akta Sądu Obywatelskiego (IX)	984
Z ŻYCIA ZAGRANICY. Literatura dzisiejsza i stowarzyszenia literackie na Węgrzech (János Tomesányi)	989
KSIĄŻKI. Józef Wittlin: Sól ziemi. Emil Zegadłowicz: Zmory (Kazimierz Wyka). — Stanisław Piętak: Alfabet oczu. Legendy dnia i nocy (Stefan Napierski)	996

C E N A N U M E R U ZŁ. 2.-

DROGA Nr. 11



ARTUR ŚLIWIŃSKI

MOI KANDYDACI NA PREMJERA

ZE WSPOMNIEŃ O JÓZEFIE PIŁSUDSKIM

W listopadzie 1918 roku, Komendant Piłsudski, zainstalowawszy się w domu przy ul. Mokotowskiej Nr. 50, nie miał chwili wytchnienia i spokoju. Wszystkie ważne sprawy opierały się o niego, a istna fala interesantów od rana do późnej nocy szturmowała do jego mieszkania. Sytuacja Komendanta była tem trudniejsza, że, koncentrując na sobie uwagę całej Polski, a stanowiąc centralny ośrodek ówczesnej akcji politycznej i będąc w tej akcji czynnikiem rozstrzygającym, zaskakiwany był nieustannie faktami niedawnej przeszłości, której, przebywając w więzieniu magdeburskim, znać oczywiście nie mógł. A stosunki polityczne w Warszawie były wielce zagmatwane. Mnóstwo partyj, partyjek, koteryj rościło sobie pretensję do wywierania wpływu na wypadki. Chcąc wysondować opinie, a zarazem unaocznic jej wielki absurd, jaki wytworzyło nieznane nigdzie rozproszkowanie społeczeństwa, Komendant odbył w pałacu Kronenberga pamiętą konferencję z przedstawicielami wszystkich odłamów politycznych, jeżeli, pominąwszy kilka liczniejszych stronnictw, można tak nazwać owe koła, kółka i kółeczka, które podówczas brały udział w życiu politycznem Warszawy. Należałem do tych, co nieźle orjentowali się w powikłanych stosunkach na gruncie warszawskim. Otóż o te stosunki Komendant często mnie rozpytywał, a nie mogąc przyjmować wszystkich zgłaszających się do niego interesantów, do mego uznania pozostawił wybór osób, których nie znał, a które chciały z nim mówić. Jako informator starałem się być możliwie bezstronnym. Szczególniej gdy chodziło o osobistości niemiłe politycznie, zachowywałem najdalej idący objektywizm.

Stanowisko moje najwidoczniej dogadzało Komendantowi ¹⁾, bo i później, gdy przeniósł się do Belwederu, przez dość długi okres czasu często wzywał mnie do siebie i rozpytywał o ludzi lub o zmienne nastroje opinii Warszawy.

Pewnego dnia, w godzinach południowych (a było to w końcu grudnia 1918 roku), gdy znajdowałem się w biurze Rady Miejskiej, przyjechał do mnie oficer i oświadczył, że Komendant chce zaraz mnie widzieć.

Pojechaliśmy na plac Saski. Dyżurujący adjutant natychmiast wprowadził mnie do Komendanta.

Piłsudski wielkimi krokami przechadzał się po dużym pokoju. Bez jednego słowa przywitał się ze mną, wskazał mi krzesło i wędrował dalej. Siadłem i w milczeniu obserwowałem tę wędrówkę. Komendant chodził szybko, a był zasepiony. Jego czupryna, brwi i wąsy zwały się w jakąś gniewną chmurę, która dominowała w mglistym, szarym świetle, wypełniającem wielki gabinet. Spacer Komendanta trwał długą chwilę. Nie mówiłem nic, by nie przerywać biegu myśli, którym, jak już wiedziałem, pomaga ruch, wyrażający się w wielkich miarowych krokach. Ale snując domysły, przypuszczałem, że stać się musiało coś złego. Nagle chmura zatrzymała się przedemną — i zpod krzaczastych brwi spojrzały na mnie badawcze oczy.

— No... cóż ten rząd Moraczewskiego? — posłyszałem naraz pytanie.

— A cóż, Komendancie, rząd rządzi...

— Rządzi, — burknął Komendant. — To i ja wiem, że rządzi. Ale jak rządzi?

— Dobrze rządzi, — odparłem, — o ile... o ile w tych warunkach można dobrze rządzić.

— Więc uważacie, że wszystko idzie dobrze?

— Przeciwnie. Uważam, że idzie źle. Ale idzie.

— I ja myślę, że *jeszcze* idzie, — odparł Komendant i znowu rozpoczął swój spacer po pokoju.

Pomyślałem sobie, że, wbrew moim przypuszczeniom, nic złego się nie stało i odetchnąłem z ulgą. Ale Komendant chodził nadal zasepiony. Coś ważył w swej głowie. Miał widocznie powziąć decyzję. A każdą decyzję poprzedzał zawsze wielką pracą myśli. Zrozumiałem, że decyzja dojrzewała i że za chwilę dowiem się, o co chodzi i w jakim celu zostałem wezwany.

Jakoż Komendant, zaprzestawszy niebawem wędrówki, usiadł przy biurku i w dobitnych zwięzłych słowach zaczął charakteryzować istniejący

¹⁾ Wspominając o odbywanych w listopadzie 1918 r. konferencjach z różnymi ludźmi, Komendant pisał: „Wielce pomocnym przy tym doborze ludzi był mi pan Artur Śliwiński, który mi bezstronnie oświecił sytuację polityczną w Warszawie”. **Józef Piłsudski: Poprawki historyczne.** Warszawa 1931, str. 83.

stan rzeczy. Z tego, co mówił, wynikało, że tak, jak jest, trwać długo nie może. Rząd Moraczewskiego powstrzymał wśród mas niebezpieczne wrzenie, które przy innym rządzie mogło doprowadzić do fatalnych dla kraju rezultatów. Ale agitacja przeciw rządowi jest wielka. Niezadowolenie rośnie. Powstaje kwestja, czy w tych warunkach rząd będzie mógł spełniać swoje zadanie i czy wobec tego nie staje się aktualna sprawa zmiany rządu. Wprawdzie Komendant w aktywną siłę elementów niezadowolonych nie wierzył, wrzawą przeciwrządową nie przejmował się wcale, ale brał pod uwagę odruchy ludzi niepoczytalnych, przedewszystkiem zaś wielką szkodę, jaką państwu zarówno wewnątrz, jak nazewnątrz przynosi panująca w kraju atmosfera.

Muszę tutaj dodać, że Komendant nigdy nikogo się nie radził, a o nieproszonych doradcach wyrażał się najczęściej z sarkazmem. Ale wielce sobie cenił sumienne informacje. Wiedziałem więc, że jeśli zwraca się do mnie, to nie dlatego, by oczekiwał odemnie rady, ale dlatego, że chciał wiadomości o panujących w społeczeństwie nastrojach. Gdy więc spytał mnie, co myślę, starałem się na podstawie własnych obserwacji scharakteryzować ówczesne położenie. Mój ostateczny wniosek był taki, że państwu nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo, jeśli rząd Moraczewskiego jeszcze czas jakiś sprawować będzie władzę. Jeśli tedy miałyby nastąpić zmiany rządu, to okoliczności nie wymagają tego, aby nastąpiła natychmiast. Raczej przeciwnie. Masy są pod wpływem rewolucyjnych haseł, idących do nas ze wschodu i z zachodu. Rząd, na którego czele stoi socjalista, jest dla tych mas największą może rękojmią, że Polską, wbrew temu, co się dzieje dzisiaj na świecie, nie będzie rządziła reakcja. I może dlatego mamy względny spokój w kraju.

Komendant powiedział, że istotnie cały świat po wojnie idzie „na lewo“ i z tem realni politycy powinni się liczyć. Wysiłki Komendanta zmierzają do tego, aby wobec niebezpieczeństw zewnętrznych nie dopuścić do zaognienia walki wewnętrznej. Sam, zavalony pracą, nie ma możliwości wchodzić w ciągłą bezpośrednią styczność ze społeczeństwem, ale pragnie znać jego nastroje i dlatego właśnie zwrócił się do mnie. Chciał niejako sprawdzić swe wnioski. Uważał jednak, że zmiana rządu dojrzuje i że trzeba o tem myśleć. Chodzi tylko o to, by zmiany dokonać we właściwym czasie. A wszystko ma swój czas i o tem zawsze należy pamiętać. Wkońcu zapowiedział, że o tej sprawie zapewne już niedługo będzie chciał ze mną pomówić.

Na tem skończyła się rozmowa.

Wkrótce potem dokonano niepoczytalnego zamachu na rząd, a w kilka dni później zawezwany zostałem na godzinę 11 w nocy do Belwederu.

U Komendanta zastałem swego przyjaciela, Władysława Mecha²⁾.

Komendant powrócił do spraw, poruszonych w ostatniej rozmowie ze mną. Sytuacja, mówił, jest taka, że rząd Moraczewskiego trwać dłużej nie może i sam już nie ma pretensji do utrzymywania się nadal przy władzy. Nie mógł ustąpić pod presją, ale dziś już dla wszystkich jest rzeczą jasną, że nie pod presją zmiana będzie dokonana. Trzeba stworzyć nowy rząd. Sprawa jest trudna i skomplikowana. Na czele rządu nie może stanąć nikt z przyjaciół i zaufanych ludzi Komendanta, bo gdyby się tak stało, opinia uważałaby taki rząd za dalszy ciąg rządów Moraczewskiego. Tymczasem zmiana powinna być istotna. Największa trudność polega na tem, że trzeba wyszukać premjera, a odpowiedniego kandydata Komendant nie widzi. Liczy więc na to, że orjentując się dobrze w miejscowych stosunkach, wskażemy mu właściwego człowieka.

Mech odrazu oświadczył, że, przyjechawszy niedawno do Warszawy, nie orjentuje się należycie w sytuacji, a z wybitniejszymi działaczami nie stykał się w ostatnich czasach. Okazało się, że Komendant głównie liczy na mnie.

— Jakież to ma być premjer? — zapytałem.

— Nie może to być, — odpowiedział Komendant, — nikt z polityków galicyjskich. Nie może to być endek, ani pepeesowiec. Wogóle nie może być to czynny polityk, wlokący za sobą bagaż wojennych orjentacyj. Ale w polityce orjentować się musi. Powinien to być człowiek poważny, starszy, zasłużony, ze znanem nazwiskiem i to nazwiskiem niejatrzącem nikogo. Powinien cieszyć się w społeczeństwie dobrą opinią. Powinien być wreszcie człowiekiem, na którego lojalności można polegać.

— Nikt z obozu Komendanta? — zapytałem.

— Nikt z mojego obozu.

²⁾ Mecha poznałem w Lipsku, jako prezesa organizacji młodzieży akademickiej p. n. *Concordia*. Do *Concordii* należały elementy socjalistyczne, demokratyczne i postępowe. W życiu młodzieży polskiej, studjującej zagranicą, Mech odgrywał b. poważną rolę. Spotkałem go potem w Kijowie w roku 1902-im i przez kilka lat pracowałem z nim razem w P. P. S. Człowiek wykształcony, wielkiej energji i wielkiego charakteru, niepospolity mówca, świetny organizator, należał do najwybitniejszych działaczy P. P. S. Przed wojną przeniósł się do Warszawy. Tu zapadł na ciężką chorobę, z której się podźwignął, ale nie odzyskał już nigdy swej dawnej energji i dawnych sił fizycznych, skutkiem czego zarówno w okresie wojny, jak później, nie mógł odegrać wybitniejszej roli, acz nie przestawał być czynnym. W niepodległej Polsce Mech był wojewodą wołyńskim, a umarł na stanowisku dyrektora Zakładu Ubezp. Prac. Umysłowych. W mieszkaniu Mecha w Kijowie spotkałem się po raz pierwszy z Piłsudskim. Mech cieszył się dużem zaufaniem i względami Komendanta.

— I wogóle nikt z działaczy, którzy w ostatnich latach brali czynny udział w polityce?

— Najlepiej, żeby to była w polityce siła nowa.

— To będzie trudno znaleźć takiego kandydata.

Ale Komendant, jakby nie słyszał słów moich, rzucił mi pytanie:

— Kogo możecie mi wskazać?

— Muszę dobrze pomyśleć, — odpowiedziałem.

— No, to myślcie.

Zwrócił się do Mecha:

— Nie przeszkadzajmy myśleć Arturowi.

I zaczął rozmawiać z Mechem. A ja myślałem i myślałem, ale nic nie mogłem wymyślić. Nadaremnie przypominałem sobie różne nazwiska. Nadaremnie zatrzymywałem się myślą na osobistościach wybitnych, znanych ogółowi ze swej pracy. Pomimo najlepszych chęci, nie mogłem upatrzeć pożądanej ofiary. Ten choć nie endek i nie pepeesowiec, ale czynny polityk, ów znowu nie polityk, ale też wypruty doszczętnie z nerwu politycznego. Tamten nie ma znanego w społeczeństwie nazwiska, a inny jeszcze, choć ma takie nazwisko, zaangażował się po stronie takiej, czy innej zbankrutowanej „orientacji”. Do licha! — myślałem sobie, toż to zagadnienie nie do rozwiązania! Istna kwadratura koła!...

A Komendant, rozmawiając z Mechem, raz wraz spoglądał na mnie pytającym wzrokiem. Wyczytawszy w moich oczach, że nic jeszcze nie mam do powiedzenia, ruchem głowy zachęcał mnie do dalszych poszukiwań. Więc wysilałem swą myśl w dalszym ciągu, ale bezskutecznie. W pewnej chwili Komendant przerwał rozmowę i zwrócił się do mnie:

— No cóż?

— Myślę, Komendancie.

Upłynęło z pół godziny, a może i więcej. Straciwszy nadzieję, bym mógł znaleźć odpowiedniego kandydata, zacząłem się przysłuchiwać, co mówi Komendant i przyłączyłem się do rozmowy. A rozmowa była tak zajmująca, że przestałem myśleć o swoim zadaniu. Sądziłem nawet, że Komendant zrezygnował już z mojej pomocy. Ale tak nie było. W pewnym momencie, gdy najmniej tego oczekiwałem, usłyszałem pytanie:

— Macie kandydata?

Nie miałem jeszcze kandydata i zwątpiłem, bym go kiedykolwiek wynalazł, ale w tej właśnie chwili, gdy chciałem odpowiedzieć przecząco, niespodziewana dla mnie sama myśl przyszła mi do głowy.

— Mam, — odparłem.

I Komendant i Mech spojrzeli na mnie z zaciekawieniem.

— Któż to taki? — badał Komendant.

— Smoleński.

Komendant spojrzał na mnie pytająco.

— Profesor Władysław Smoleński.

— Historyk?

— Tak jest, Komendancie, historyk.

— No... a kto więcej?

— Tymczasem... innego kandydata nie mam.

Komendant się zamyślił.

— Nie jest to, — zacząłem wyjaśniać, — ani endek, ani pepeesowiec. Nie polityk, a należy przypuszczać, że w polityce się orjentuje. Człowiek pracy, uczciwy, zasłużony, starszy, ze znanym nazwiskiem. Wiem, że posiada cywilną odwagę i potrafi, gdy trzeba, rąbać prawdę w oczy...

Zacząłem nabierać coraz większego przekonania do mego naprędce za-improwowanego kandydata i wynajdywać w nim nowe zalety.

— Jest wymowny, — ciągnąłem, — i zdania swego umie bronić. Po wybuchu wojny, jeszcze za czasów moskiewskich, nieraz przewodniczył na nielegalnych, choć coprawda dość niewinnych zebraniach w lokalu t. zw. Baryczków na Starem Mieście. Byłem raz na takim zebraniu z kilkoma przedstawicielami naszej tajnej organizacji niepodległościowej. Przyprowadziłem z sobą Kunowskiego, który przyjechał właśnie do Warszawy³⁾ i przywiózł świeże wiadomości z tamtej strony kordonu. Smoleński bardzo żywo interesował się temi wiadomościami i już wtedy z uznaniem odzywał się o akcji zbrojnej Komendanta. Słyszałem później, że bronił tej akcji i na innem zebraniu odpierał czynione jej zarzuty.

Ale Komendant nie kwapił się z aprobatą mej kandydatury.

— Zewnętrznie, — dodałem, — dobrze się prezentuje. Ma brodę iście senatorską i głos tubalny.

Komendant mruknął coś pod nosem. Wygląd zewnętrzny przyszłego premiera mało go interesował.

— Smoleńskiemu, — mówiłem, — trzeba by dać pomoc w osobie najbliższego współpracownika, solidnego szefa biura, człowieka, do którego Komendant miałby całkowite zaufanie. Myślę, że Mech nadałby się do tej roli, — zacząłem projektować, wiedząc, że Komendant Mecha ceni i lubi.

Lecz Komendant milczał. Po chwili dopiero spytał, czy dobrze znam Smoleńskiego i czy obecnie podtrzymuję z nim stosunki.

— Znam go oddawna, — odpowiedziałem, — ale jako historyka. Nie mogę przecież powiedzieć, bym go znał dobrze. Nieraz, przed wojną jeszcze,

³⁾ Włodzimierz Kunowski, członek P. P. S., późniejszy z ramienia tej organizacji członek Tymczasowej Rady Stanu.

rozmawiałem z nim, ale głównie na tematy historyczne. Nie widziałem go jednak dość dawno. Jaką orjentację ma dzisiaj, nie umiałbym powiedzieć. Jest niewątpliwie gorącym patryjotą. Czy stanie na wysokości zadania, jako premier, jest to kwestja, której obawiałbym się przesądzać. To wydaje mi się pewnem, że osoba jego żadnej partji nie rozjątrzy, ale też żadnej się nie podoba.

Komendant znowu się zamyślił.

— Niestety, — zabrałem głos, — nie przypominam sobie, by Smoleński brał udział w życiu praktycznem i miał do czynienia i z interesami większemi natury życiowej. To dla premiera może być poważnym defektem. Myślę przecież, że profesor sam najlepiej o swych kwalifikacjach będzie mógł zaopiniować. Znam go na tyle, że wiem, iż nie zrobi w ważnej sprawie kroku, który byłby przeciwny jego przekonaniu. O karjerze politycznej napewno nie myśli i nie ma w sobie nic z karjerowicza.

Komendant zapytał Mecha, co sądzi o mej kandydaturze. Ale Mech niewiele mógł o niej powiedzieć i nic nowego od siebie nie dodał.

Komendant machnął ręką.

— Niech będzie Smoleński! — zdecydował.

Powiedziałem, że może byłoby dobrze, gdyby Komendant jeszcze z innego źródła zasięgnął o mym kandydacie wiadomości. Smoleński jest dobrze znaną w Warszawie osobistością i wiele osób, na których można polegać, zna go lepiej, niż ja. Ale Komendant odparł, że sprawa jest pilna i że nie będzie zasięgał od nikogo informacji, tembardziej, że nie życzy sobie, aby wiadomość o zmianie rządu rozeszła się przed czasem.

Wobec tego zapytałem, kiedy Smoleński ma stawić się w Belwederze. Lecz Komendant odpowiedział, że nie chce, by rozmowa jego z profesorem odbyła się oficjalnie, zwłaszcza że nie wie, jaki będzie jej wynik i czy Smoleński propozycję przyjmie. Postanowił tedy, że rozmowa odbędzie się nie w Belwederze, co zwróciłoby uwagę, lecz u mnie w mieszkaniu, następnego dnia o 6-ej wieczorem.

Przed odejściem zapytałem, czy mam Smoleńskiemu powiedzieć, w jakim celu Komendant życzy sobie go widzieć.

— Wasz kandydat i wasza rzecz, co macie mu powiedzieć.

Gdyśmy z Mechem opuszczali Belweder, było już koło 3-ej. O tak późnej godzinie nie mogłem oczywiście alarmować profesora. Udałem się jednak na Hożą, gdzie mieszkał, zostawiłem u dozorczy bilet, który miał być rano wręczony, a w którym prosiłem Smoleńskiego, by przed mojem przyjściem nie opuszczał mieszkania, gdyż mam bardzo ważną sprawę. Przybycie swoje zapowiedziałem na godzinę 8-ą rano.

O wyznaczonej godzinie profesor przyjął mnie w swoim skromnym pokoju, wypełnionym książkami.

Zarówno mój bilet, jak wizyta moja o tak wczesnej porze zdziwiły Smoleńskiego.

Postanowiłem mu nie mówić, o co chodzi. Powiedziałem tylko, że Komendant chce się z nim spotkać. Prosiłem go więc, by tegoż dnia przyszedł do mnie o godz. 6-ej wieczorem.

Zdziwienie profesora wzrosło, acz propozycja moja zrobiła mu widoczną przyjemność.

— A czego Komendant Piłsudski chce odemnie? — zaniepokoił się po chwili.

— Chce z panem profesorem pomówić.

— Ale o czym chce mówić?

— Tyle ważnych rzeczy się dzieje. Jest o czym mówić.

— No tak... Hm... To dobrze się składa, bo i ja niejedno miałbym Komendantowi do powiedzenia.

W słowach profesora było coś mentorskiego, z czego wynioskowałem, że rozmowa będzie interesująca, choć nie taka, jak zapewne Smoleński wyobrażał ją sobie w tej chwili.

Punktualnie o godzinie 6-ej zacny profesor stawiał się u mnie w mieszkaniu.

Był ubrany w długi czarny tużurek. Bujna broda, w której srebro kontrastowało z czernią smoły, starannie wygładzona, miękką falą spadała na piersi. Czarny sznureczek od binokli, trzymających się mocno na wydatnym nosie, z fantazją przeciągnięty był przez ucho. Zauważyłem, że profesor jest bardzo poważny i jakoś uroczyście zafrasowany. Wydawało mi się nawet, że jego tubalny głos ma jakieś miękkie przyciszone tony. Zaczęliśmy rozmawiać, ale rozmowa się nie kleiła.

W kwadrans później przyszedł Komendant wraz z adjutantem.

Po powitaniu się, obaj panowie zajęli obok siebie miejsca na kanapie. Ja, przedzielony od nich stolikiem, usadowiłem się naprzeciwko (adjutant czekał w przyległym pokoju). Przyniesiono herbatę i zaczęła się pogawędka towarzyska.

Komendant był w doskonałym humorze. A kiedy humor mu dopisywał, stawał się człowiekiem czarującym. Pełen prostoty, uprzejmości, ujmująco swobodny, rozłaczał urok, któremu ulegali najbardziej uprzedzeni do niego przeciwnicy. Osobiście, zaczynając od czasów konspiracyjnych, niejednokrotnie byłem świadkiem potężnego wrażenia, jakie wywierał na ludzi, tych zwłaszcza, którzy zetknęli się z nim po raz pierwszy. Umiał ludzi zjednywać, ale umiał też sprawiać wielkie niespodzianki tym, co, zaufawszy jego wdziękowi

towarzyskiemu, usiłowali w poważnych sprawach dowieść, że nie ma słuszności, lub też narzucić mu swą opinię. Zmieniał się wtedy i stawał się w dyskusji partnerem wielce niebezpiecznym. Żelazną logikę jego argumentów wspierał żar wewnętrzny i wielka siła duchowa, która wibrowała w każdym słowie, a którą ujarzmił swego przeciwnika.

Widząc, jak pod wpływem czaru Komendanta rozwiewa się sztywność profesora Smoleńskiego, przypomniałem sobie pierwsze spotkanie Piłsudskiego z Andrzejem Niemojewskim.

Było to jeszcze przed wybuchem rewolucji 1905 r. na zebraniu towarzyskim w mieszkaniu Władysława Mecha w Kijowie. Niemojewski przyjechał do Kijowa z nielegalnym odczytem. Po odczycie zebrało się u Mecha kilkanaście osób i zasiadło do skromnej wieczerzy. Niemojewski, sympatyzujący wówczas z P. P. S., wszczął dyskurs na temat *Myśli Nowoczesnego Polaka*, znanej książki Dmowskiego. Wypowiedział się o niej bardzo lekceważąco. Uczestnicy zebrania, sami pepeesowcy, lub tak zw. sympatycy P. P. S.⁴⁾, milczeli lub przytakiwali wywodom wymownego mówcy. W pewnej chwili zabrał głos przypadkowo obecny na tem zebraniu, a paru tylko osobom znany ze swego prawdziwego nazwiska towarzysz Mieczysław i zaoponował przeciw wygłoszonym argumentom. Niemojewski replikował z właściwą mu swadą. Ale replika nie przekonała oponenta. Nie bronił książki, lecz atakował przesłanki krytyczne p. Andrzeja. Wszczęła się polemika, coraz gorętsza i żywsza, wykraczająca daleko poza ramy pierwotnie poruszonego tematu. Wszyscy obecni z największym zainteresowaniem obserwowali ten niezwykle pojedynek, bo Niemojewski w szermierce na słowa był graczem nielada. Ale tym razem trafił na większego mistrza. Więc choć bronił się świetnie, musiał nieustannie się cofać. Długo przecież nie dawał za wygraną. Zepchnięty z jednego stanowiska, zajmował nowe i odpierał atak z nieopuszczającą go werwą. Ale ataki w miarę tego, jak polemika się przedłużała, stawały się coraz gwałtowniejsze, a obrona słabła. Skończyło się na tem, że Niemojewski, osaczony ze wszystkich stron nieubłaganą, a potężną logiką nieznanego sobie oponenta, złożył broń i wycofał się z dyskusji.

Zapanowała chwila kłopotliwej ciszy. Przerwał ją Mech, dając, jako gospodarz, sygnał do powstania od stołu.

Gdyśmy przeszli do drugiego pokoju, Niemojewski, wielce zaintrygowany osobą swego oponenta, zapytał mnie o jego nazwisko. Za zgodą Piłsudskiego, rozkonspirowałem go przed naszym gościem z Warszawy. Pamiętam, jak

⁴⁾ Z obecnych na tem zebraniu u Mecha, a żyjących dziś osób, przypominam sobie pp. Adama Żołyńskiego, Dymitra Szarzyńskiego i Stanisława Śliwińskiego. Wszyscy trzech przebywają obecnie w Warszawie.

dziś, choć zgórą 30 lat minęło od tego czasu, słowa Niemojewskiego, które wyrzekł, gdy opuściwszy mieszkanie Mecha, wyszliśmy na ulicę:

— Słyszałem dość dużo o Piłsudskim. Wyobrażałem sobie, że jest to człowiek z temperamentem dawnego husarza, a to jest wielki mąż stanu.

Niejedno jeszcze wspomnienie przyszło mi na myśl, gdym spostrzegł, jak szybko stary profesor ulega czarowi Komendanta. Początkowo w słowach swych wstrzemięźliwy, jakby się miał na baczności, pod wpływem miłego nastroju zaczął wypowiadać się z całkowitą swobodą. Jego tubalny głos odzy-skał niebawem donośną pewność siebie, a słowa płynęły sprawnie, gładko, potoczyscie. Lecz wrażenia moje zmieniły się gruntownie, gdy z pogawędki towarzyskiej rozmowa zesła na tematy w związku z sytuacją polityczną w kraju.

Profesor rozgadał się na dobre i zapewne ani się spostrzegł, że przemawiać zaczyna tonem nieco mentorskim. Komendant mówił coraz mniej, Smoleński coraz więcej. A to, co mówił, było krytyką wszystkiego, co zaszło w Polsce od powrotu Komendanta z Magdeburga. Niestety, znakomity historyk nie wniósł do tej krytyki nic oryginalnego. Zarzuty jego były jakgdyby echem tego, co pisała prasa wroga pierwszemu rządowi odrodzonej Polski. Lecz Komendant, ku memu zdziwieniu, nie tylko słuchał cierpliwie wywodów profesora, lecz słuchał z miłym uśmiechem. A zachowanie się Komendanta jakgdyby podniecało profesora i wprawiało go w ferwor coraz większy. Zarzuty jego stawały się coraz cięższe, krytyka coraz ostrzejsza. Z wielką przykrością stwierdziłem w duchu, że mój kandydat nie ogarnia całokształtu sytuacji, że nie zdaje sobie sprawy, z jak wielkimi trudnościami musiał walczyć Komendant po przyjeździe do Warszawy. Krytyka profesora wydała mi się zbyt symplicystyczna. Może zresztą za surowo ją oceniałem z tego powodu, że czego innego oczekiwałem po swoim kandydacie na premjera i że gorąco pragnąłem, aby się przedstawił Komendantowi w najlepszym świetle. Rozczarowany zarzutami, zacząłem oponować. Ale opozycja moja podnieciła tylko profesora. Z pasją coraz większą powtarzał swoje zarzuty. Zabrałem znowu głos i wdałem się w polemikę. Lecz Komendant, słuchający wszystkiego z niezamąconym spokojem, dał mi oczyma znać, bym pozwolił wygadać się Smoleńskiemu. Więc zaprzestałem dyskusji, a mój kandydat perorował dalej. W krytyce swojej posunął się tak daleko, iż powiedział, że rząd Moraczewskiego nie ma charakteru polskiego i nie rządzi po polsku. Zdaniem profesora, Komendant zgoła inaczej powinien był zabrać się do rzeczy i to natychmiast po przyjeździe do Warszawy.

Komendant, mile uśmiechnięty, spytał uprzejmie:

— Cóż więc, zdaniem profesora, powinienem być uczynić?

Smoleński, rozpędzony w swoich wywodach, odparł bez wahania:

— Trzeba było odrazu ogłosić dyktaturę.

Czy to ostatnie słowa, czy też wogóle uwagi profesora zniecierpliwiły Komendanta, dość że w jednej chwili twarz jego przesłoniła się chmurą. Nasrożył się i niespodzianie uderzył ręką w stół, aż zadzwoniły szklanki i spodki. zabrzęczały łyżeczki. Smoleński poruszył się niespokojnie i z takim zdziwieniem spojrzał na Piłsudskiego, jakby go teraz dopiero zobaczył.

— Co, — zawołał gniewnie Komendant, — dyktaturę?! Powtarzać farzę Mierosławskiego, czy Langiewicza, żebyście wy, historycy, mieli o czym pisać?! A gdzie instrumenty dyktatury, gdzie aparat techniczny, któryby z dyktatury uczynił nie komedję, lecz istotne narzędzie władzy?!

I podniesionym głosem wyrabiał krótki wykład o dyktaturze. A potem przeszedł do oceny tego, co zastał w kraju. Porównał rozproszkowane społeczeństwo do kupy piasku, w której każde ziarno na swój sposób chciało urządzić Polskę. Aż chęć brała kopnąć to wszystko i uciec z Warszawy. Wspomniał o niezliczonych partjach, które żarły się z sobą, gdy sytuacja wymagała rozsądnego kompromisu i powszechnej zgody. Każda z tych partyj i partyjek miała, Bóg wie, jakie pretensje, a wszystkie razem wytworzyły błoto. Jakoż z tego błota wzajemnych niechęci, uprzedzeń, a nawet nienawiści za uszy trzeba było wyciągać władzę, by ratować Polskę, boć przecież bez władzy żadne państwo istnieć nie może. W tych warunkach powstał taki rząd, jaki mógł powstać. Rząd ten robi, co może. Łatwo tym, co stoją zdala od wszystkiego i grają rolę mędrkujących gapiów, krytykować to, co się dzieje. Ale profesor inaczej przecież powinien oceniać sytuację.

I tutaj przeszedł Komendant do krytycznych uwag Smoleńskiego.

A cały czas mówił głosem podniesionym, jakby wrzącym z trzymanego na wodzy gniewu. Słowa Komendanta padały ciężko, jak kamienie. Tchnęły prawdą i logiką, a brzmiały, jak rozkazy i miały w sobie coś z wyższego rozkazu, z którym niepodobna jest dyskutować. Argumenty szły jedne po drugich w żelaznym szyku, gromadziły się i rozwijały, jak żołnierskie kolumny i z siłą coraz większą atakując pozycje przeciwnika, gruchotały je bez pardonu. Istna burza zwała się na wywody profesora i spustoszyła je doszczętnie.

Smoleński słuchał tego przemówienia z wzrastającym ciągle zdziwieniem. Powoli, jakby mu groziło niebezpieczeństwo, odsuwał się od Komendanta i nie gładził już, ale raczej targał swą wspaniałą brodę. Potem znieruchomiał. Widać było, że zaskoczony jest huraganem, który sam wywołał. Gdy Komendant skończył, stary profesor spoglądał na niego zdumionymi oczyma. Historyk widział przed sobą żywą historję i słyszał jej głos potężny, jakby żywiołowy. Kto wie, może po raz pierwszy w swym długim zawodzie profesjonalnym spotkał się ze zjawiskiem historycznym, które tak nagle zburzyło całą jego koncepcję, że nie wiedział, co począć i jaką drogą iść dalej.

Znakomity historyk był w prawdziwym kłopotcie.

Po chwili przecież, otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, jakie uczyniło na nim przemówienie Komendanta, powrócił do swoich zarzutów. Z właściwą sobie, zawsze cechującą go uczciwością, przyznał, że może nie doceniał wszystkich trudności, o których dowiedział się przed chwilą. Zgodził się z wielu wywodami Komendanta, usiłował jednak bronić jeszcze niektórych swoich pozycji. Lecz pewność siebie, przejawiona w początkach rozmowy, rozwiała się, jak dym, a tubalny głos stracił swe mocne akcenty. Smoleński nie pouczał już i nie dowodził, lecz raczej tłumaczył się i usprawiedliwiał.

Słuchając tego, byłem rad, że nie powiedział profesorowi, jakie zamiary żywił względem niego Komendant. W tej chwili bowiem byłem przeświadczony, że mój kandydat na premiera przegrał na całej linii i nie dowie się już nigdy, jaka propozycja miała go spotkać.

Ale czekała mnie niespodzianka.

Komendant, ciągle jeszcze gniewny i chmurny, zwrócił się naraz do Smoleńskiego:

— Moraczewski, zdaniem profesora, rządzi nie po polsku. Od jutra mogą być rządy polskie, tak jak je profesor rozumiesz.

Smoleński, nie zdając sobie sprawy, co znaczyć mają te słowa, ale jakby przeczuwając coś niedobrego, rozłożył ręce i zwrócił na Komendanta niespokojne pytające spojrzenie.

— Proponuję profesorowi, — rzekł Komendant, — byś został premierem i przystąpił zaraz do tworzenia gabinetu. Już jutro więc może pan stanąć na czele rządu i rządzić „po polsku“.

Efekt tej propozycji był zgoła niezwykły.

Smoleński odsunął się gwałtownie, a twarz jego wyrażała zdumienie. Wyprostował się, przywarł mocno plecami do oparcia kanapy, podniósł w górę głowę, potem pochylił ją nieco, i z poza szkieł wielkimi oczyma spoglądał w milczeniu na Józefa Piłsudskiego.

Komendant ze swej strony, patrząc z pod nastroszonych brwi na Smoleńskiego, po krótkiej pauzie, spytał go surowym głosem:

— No cóż? Przyjmuje profesor propozycję?

— Ja... — sapnął Smoleński, — ja premierem?..

Zacisnął usta, coś zdławił w sobie, poprawił na nosie binokle, chrząknął, poczem głosem, w którym, jak mi się zdawało, brzmiała gwałtowna, niemal rozpaczliwa stanowczość, wyrzucił z siebie:

— Nie!

Ale Komendant nie myślał ustępować.

— Nie? — huknął, — a to dlaczego?! Któż lepiej wie, co trzeba czynić i jak obecnie rządzić? Uważa profesor, że Polsce potrzebna jest dyktatura?

Bardzo proszę! Możesz profesor rządzić po dyktatorsku! Ja nie będę przeszkadzał...

Smoleński, zaszyty już w sam kąt kanapy, nie zdobył się od razu na odpowiedź, lecz czas jakiś ciężko sapał, jak osaczony beznadziejnie odynieć.

— Cóż? — napierał niemiłosiernie Komendant.

— A no cóż? — odpowiedział profesor, podniósł oczy do góry, zatrzymał przez chwilę wzrok na suficie, potem spojrzał na Komendanta, targnął brodę, zebrał się w sobie i nie bez rezolucji zaczął się bronić. Dowodził, że nie ma potrzebnego doświadczenia i nie nadaje się do takiej roli.

Lecz Komendant nie dał się przekonać. Odpowiedział twardo, że wiek nie może być przeszkodą. W czasach takich, jak obecne, każdy wszystkie swe siły powinien dać Polsce. A co się tyczy doświadczenia, to nie mając przez tyle lat własnej państwowości, wszyscy musimy je zdobywać. Zresztą cały świat zgoła inaczej wygląda obecnie, niż przed wybuchem wojny i doświadczenie przedwojenne nie może już dzisiaj wystarczać.

Profesor, uwikłany ze wszystkich stron i to częściowo we własne sieci, przez chwilę kręcił się niespokojnie, poczem, ciągle posapując ciężko, zaczął się skarżyć na swój poważny wiek i dolegliwości z latami związane. Mówił, że siły mu już nie dopisują, że zmuszony jest zwracać uwagę na stan swego zdrowia, zwłaszcza że cierpi... tak... cierpi... nieraz cierpi bardzo...

Ostatni argument padł w tej dyskusji tak niespodziewanie, a miał w sobie tyle zafrasowania, że w jednej chwili spowodował „odprężenie“ w dość napiętej sytuacji.

Nastąpił moment tragikomiczny.

Komendant miał dużo poczucia humoru. Przykre, z wiekiem związane, cierpienia profesora, zasługujące na pełne współczucie, lecz wspomniane w chwili, gdy ważyły się losy rządów, miały sporą dozę mimowolnego komizmu. Ale w tym komizmie było coś rozbijającego, coś, co od razu spędziło chmurę z czoła Komendanta. Uśmiechnął się pod wąsem, oczy jego złagodniały, a twarz poweselała. Zdawało mi się, że parsknie śmiechem. Ale Komendant w mgnieniu oka opanował swą wesołość i nagle, zmieniwszy surowy ton, w formie uprzejmej, niemal cieplej, powtórzył raz jeszcze swoją propozycję, prosząc Smoleńskiego, aby dobrze się nad nią zastanowił i za mojem pośrednictwem zakomunikował mu jutro swą ostateczną odpowiedź. Poczem, powiedziawszy kilka grzecznych słów, pożegnał się z profesorem i opuścił gabinet.

W przedpokoju zaśmiał się dyskretnie. Był, wbrew memu oczekiwaniu, w tym samym doskonałym humorze, w jakim przyszedł na rozmowę. Spoglądając na mnie uśmiechniętymi oczyma, powiedział, bym starał się nakłonić Smoleńskiego do przyjęcia propozycji. Odparłem, że uważam sprawę za beznadziejną i że teraz wątpię, czy to będzie dobrze, jeśli właśnie Smoleński

stanie na czele nowego rządu. Ale Komendant nie był rozmową zrażony i ob-
stawał przy swoim.

Nieraz później słyszałem od Komendanta, że należy wykorzystywać lu-
dzi, jacy są. Zawsze trzeba szukać ludzi odpowiednich, lecz gdy takich niema,
nie można zaniechać sprawy dlatego tylko, że trudno znaleźć do właściwych
zadań właściwego człowieka. W rękach Piłsudskiego ludzie byli zazwyczaj
instrumentami, służącymi wyższym celom. Często narzekał, że te instrumenty
kruszą się zbyt szybko i zbyt często zawodzą. Nigdy przecież z tego powodu
nie wyrzekał się swych planów. Gdy doznał zawodu, szukał innych narzędzi,
a do zawodów, jak nikt w Polsce był przyzwyczajony. Nie zrażał się niemi
i to było niewątpliwie jednym z elementów jego niezwyklej siły. Za pierwszy
warunek współpracy z sobą uważał uczciwość osobistą i lojalność we wza-
jemnych stosunkach. Najwidoczniej pod tym względem stary profesor nie
wzbudził wątpliwości.

Gdym, pożegnawszy Komendanta, powrócił do swego gościa, Smoleński
stał na środku pokoju i gładził swą brodę. Ujrawszy mnie, rzekł:

— Ależ to srogi człowiek...

Po chwili dodał:

— A z tem premierostwem, to pewno pański był pomysł!

Nie chcąc się przyznać, ale nie chcąc też kłamać, bąknąłem coś niewy-
rażnego.

Zaczęliśmy rozmawiać o Komendancie. Profesor był pod bardzo sil-
nem wrażeniem rozmowy. A chociaż usłyszał sporo słów nieprzyjemnych, nie
miał o to żalu. Przeciwnie, nie taił swego podziwu dla Komendanta.

— To jest wódz, — powiedział.

Alę gdy, w myśl życzeń Komendanta, wróciłem do sprawy tworzenia
rządu i starałem się nakłonić profesora, aby przyjął uczynioną mu propo-
zycję, odparł stanowczo, że nie może tego uczynić.

— Zapóźno już na mnie. Na to trzeba ludzi młodszych, — odpowiadał
na moje nalegania.

Widząc, że nic nie wskóram, dałem za wygraną. Pomówiliśmy jeszcze
z kwadrans, poczem profesor opuścił moje mieszkanie. Żegnając się, raz je-
szcze kategorycznie oświadczył, że rządu tworzyć nie będzie.

Okoliczności tak się złożyły, że później nie miałem już okazji poga-
dać z profesorem Smoleńskim o jego rozmowie z Komendantem. Ale rozmo-
wa ta żywo utkwiała mi w pamięci i nieraz myślą powracałem do niej. Jako
jej świadek i obserwator, z natury rzeczy musiałem inne odnieść wrażenia,
niż każdy z obu rozmówców. Lecz fakt, że Komendant nalegał na Smoleń-
skiego, aby podjął się wielce odpowiedzialnego zadania i że chciał go widzieć
na stanowisku premiera, najlepiej świadczy, że mimo gorącej wymiany zdań,
profesor na jedną chwilę nie stracił w oczach Komendanta powagi. To też

myślę, że pewne, niepozbawione humoru momenty, które dobrze zapamiętałem, nie mogą niczem uwłaczać pamięci gorącego patryjoty i jednego z najzasłużeńszych dziejopisów naszych.

Na drugi dzień po tej rozmowie udałem się w południe do Belwederu (pamiętam, że była to niedziela) i zakomunikowałem Komendantowi, że Smoleński nie podejmuje się misji tworzenia rządu.

— Cóż powiedział?

— Powiedział, że Komendant, to srogi człowiek...

Komendant zaśmiał się zadowolony.

— No, coś trudno, — rzekł, — dawajcie innego kandydata.

— Nie mam, Komendancie.

— Musicie mieć.

— Cóż, kiedy nie mam.

— To go szukajcie.

— Łatwo to Komendantowi mówić, ale skądże go wezmę?

— Wszystko mi jedno.

Nadaremnie dowodziłem, że kandydata, któryby odpowiadał warunkom Komendanta, trudno będzie znaleźć. Ja go przynajmniej nie widzę. Długo po odmowie Smoleńskiego zastanawiałem się, kogo mógłbym jeszcze wskazać i zastanawiałem się nadaremnie. Szukałem kandydata w różnych sferach, kołach, zawodach — i nie znalazłem nikogo. Wobec tego wątpię, bym mógł spełnić zlecenie. Ale Komendant nalegał, abym się raz jeszcze dobrze zastanowił i tegoż dnia wieczorem przyszedł z nową kandydaturą.

— A jeśli jej nie znajdę?

— Musicie znaleźć.

Więc wieczorem znowu udałem się do Belwederu. Komendant powitał mnie słowami:

— Cóż, panie Arturze, macie kandydata?

— Mam.

— A co, mówiłem wam, że znajdziecie.

— Nie wiem tylko, co Komendant o tym nowym kandydacie powie.

— Czy znowu historyk?

— Tym razem osoba duchowna.

— Jaka osoba? Kto taki?

— Biskup Bandurski.

— Co? — zdziwił się Komendant.

— Tak jest, Komendancie, biskup Bandurski, — powtórzyłem.

— No, no... Ależ wy macie pomysły!

— To nie jest może zły pomysł, Komendancie...

I zacząłem bronić swej nowej kandydatury. Zaznaczyłem, że z biskupem Bandurskim spotkałem się zaledwie dwa razy i to na gruncie towarzy-

skim. Wobec tego osobiście niewiele mógłbym o nim powiedzieć. Ale znam go z opinii. Otóż, sądząc z tego, co słyszał, wnoszę, że jest to kandydat, odpowiadający wymaganiom Komendanta. Opinia będzie zaskoczona takim premierem. Ale ci wszyscy, co rząd obecny atakują z największą furją, będą musieli zmienić swój stosunek do rządu, na którego czele stanie dostojnik kościelny. Dzieją się dzisiaj rzeczy oburzające. Przeciwnicy rządu Moraczewskiego, zaraz gdy powstał, rzucili hasło, by takiemu rządowi społeczeństwo odmówiło podatków, gdy o nie się zwróci. Ci sami ludzie, co bez szemrania płacili podatki rządowi moskiewskiemu, pruskiemu i austriackiemu, krzyczą dziś na wzór dawnej szlachty, by w odrodzonej Polsce nikt podatków nie płacił. Uważam, że jest to najbardziej oburzające hasło, jakie można było w tłum rzucić. Otóż wątpię, by tego rodzaju warcholskimi hasłami można było demoralizować społeczeństwo, gdy premierem zostanie mój nowy kandydat.

— Chciał Komendant, — zakończyłem, — aby zmiana była istotna, więc będzie istotna, gdy po Moraczewskim władzę obejmie Bandurski.

— Też pomysł! Po socjaliście będę premierem robił biskupa?

— A dlaczegożby nie, Komendancie?

— Dlaczego? — zastanowił się Komendant i pomilczał chwilę. Nagle zaczął się śmiać. Śmiał się długo, serdecznie. Myślałem, że tak go ubawił mój pomysł. Ale i tym razem się omyliłem. Komendant lubił kontrasty. A kontrast, jaki projektowałem, był niewątpliwie wielki.

— Innego kandydata nie mam, — oświadczyłem rozbawionemu Komendantowi.

Komendant przestał się śmiać.

— No, dziękuję wam, — powiedział, — pomyślę i o tym kandydacie.

Nazajutrz dowiedziałem się, że biskup Bandurski przebywa w Wiedniu i że Komendant polecił zbadać adjutanturze, czy można z biskupem porozumieć się telefonicznie.

Upłynęło dni kilka, podczas których nie byłem w Belwederze, nie wiedziałem więc, czy nowy rząd powstaje. Ale co rano, biorąc do rąk gazetę, pilnie szukałem wiadomości, czy biskup Bandurski przyjechał do Warszawy. Lecz szukałem nadaremnie. Kto wie, myślałem, może już jest i pertraktuje z kandydatami na ministrów, a Komendant tak wszystko urządził, że redakcje nic o tem nie wiedzą. Aż pewnego dnia, gdym wziął dziennik do ręki, rzucił mi się w oczy sensacyjnie wydrukowany tytuł, przynoszący wieść o nowym rządzie. Zacząłem czytać i dowiedziałem się, że premierem zostaje... Ignacy Paderewski.

Kaprys przypadków historycznych sprawił, że na czele drugiego z kolei rządu odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej stanął po socjaliście nie historyk i nie biskup, lecz artysta.

WŁADYSŁAW STUDNICKI

JAN KUCHARZEWSKI HISTORYK I SOCJOLOG

Jan Kucharzewski należy do pokolenia, którego pewien odłam zerwał z reakcją polityczną popowstaniową, reprezentowaną przez t. z. prasę postępową i której najwybitniejszymi przedstawicielami byli: Aleksander Świętochowski i Prus — z jednej strony, Spasowicz i Piltz — z drugiej. Kucharzewski znalazł się w szeregach Narodowej Demokracji, gdy ta głosiła postulat niepodległości i posiadała front antyrosyjski. Jeszcze na pierwszych wiecach, przy wyborach do pierwszej Dumy, Kucharzewski występował jako mówca Narodowej Demokracji, lecz ideologia jego nie odpowiadała ideologii przywódców tego stronnictwa. Wówczas to wydaje broszurę *Frankfurcki parlament* dla wykazania, że jak nastroje filopolskie Niemców w 1848 r. nie uchroniły potem Polski od akcji germanizacyjnej, tak na nastrojach zjazdów ziemców lub deklaracyj wiecowych, mówiących o autonomji Królestwa, nie należy budować trwałych nadziei.

Głosowanie Koła Polskiego w drugiej Dumie nad kontyngentem rekrutów i uzasadnienie tego kroku potrzebą dbania o potęgę Rosji były dla Jana Kucharzewskiego sygnałem ostrzegawczym co do kierunku, w jakim idzie Narodowa Demokracja. Wówczas napisał on zjadliwy feljeton *Minister posunął się na krzesła* w czasopiśmie *Naród a Państwo*, przeze mnie wydawanem a zwalczającym Narodową Demokrację. W feljetonie tym dowodził, że z kapitału świadomości narodowej nie można kupować koncesji politycznej, że na szerokiej arenie nie mogą być głoszone hasła, zdolne jasną myśl społeczną zaćmić i hart nadważyć, i że obłuda polityczna nie może nic dać oprócz szkody moralnej. Od tego czasu Kucharzewski stał się przyjacielem moich dwutygodników i w n-rze 4 *Votum Separatum*, wydawanego w Pe-

tersburgu w 1908 r., zamieścił satyrę na „dnie słowiańskie“ w Warszawie, zwalczając udział Polaków w akcji neosłowiańskiej.

Na początku wojny Kucharzewski znalazł się w Lozannie, gdzie rozwinął akcję publicystyczną, wydrukował w *Gazette de Lozanne* szereg artykułów w sprawie polskiej, wydanych następnie w odrębnej broszurze p. t. *Pologne et la guerre*. W artykułach stał na gruncie niepodległości Polski, wykazywał fatalne konsekwencje podziału Polski dla Europy, niemożliwość odrodzenia się politycznego Rosji, obciążonej zaborem polskim. W tych artykułach oraz innych publikacjach lozańskich z okresu wojny Kucharzewski nie wskazywał, na jakich czynnikach Polska winna oprzeć się dla swego wyzwolenia, starając się tylko zjednać demokrację państw koalicyjnych dla idei niepodległości Polski w tym samym czasie, gdy artykuły w sprawie polskiej, nadsyłane do prasy paryskiej, szły do cenzury ambasadora rosyjskiego. Moskalską akcję komitetu lozańskiego Kucharzewski potępiał i wycofał się z udziału w encyklopedji polskiej, redagowanej przez Piłtza, gdy ten wzbraśniał się umieścić wzmianki o Wilnie jako mieście polskiem. Po akcji 5 listopada Kucharzewski przechylił się ku państwom centralnym. Wzywany jednak na premjera podczas rządów Rady Regencyjnej, nie poszedł na politykę zdecydowaną i dlatego nie mógł posunąć w znaczniejszym stopniu budowy państwa polskiego, wziąć udziału w brzeskiej konferencji pokojowej, która zakończyła się dla nas fatalnie.

Nie idąc na politykę zdecydowaną, Jan Kucharzewski nie zrywał harmonji ze społeczeństwem. Warszawa darzyła go sympatjami jeszcze przed wojną, gdy chciała go wybrać jako posła do czwartej Dumy, życzliwie odnosiła się do jego ministerstwa, przyklasnęła podaniu się do dymisji, jako protestowi przeciwko traktatowi brzeskiemu. Jan Kucharzewski był kontrkandydatem Wojciechowskiego przy wyborach na prezydenta. Od aktywnej polityki jednak usunął się on jeszcze w okresie przedmajowym, pragnął bowiem być tylko nauczycielem narodu, pisarzem politycznym, czerpiącym pełną dłoń z arsenału historii. Przedmiotem jego studjów stała się Rosja; pragnął wyjaśnić zasadnicze pierwiastki tego organizmu politycznego, które czyniły go przez wieki despotją, doprowadziły absolutyzm w czasie panowania Mikołaja I do apogeum, a w naszych czasach dały despotyzm bolszewicki.

Dzieło *Od białego caratu do czerwonego* jest kapitalną pracą Kucharzewskiego w ostatnich piętnastu latach. W 1922 r. bowiem wyszedł pierwszy tom tej pracy, przed paroma tygodniami siódmy i do doprowadzenia do przewrotu bolszewickiego potrzeba będzie jeszcze trzech tomów. Każdy tom pracy Kucharzewskiego stanowi samodzielną całość i jest organicznem ogni-

wem jego koncepcji Rosji. Rzecz, pisana barwnie i zajmująco, winnaby znaleźć szerokie rozpowszechnienie.

Kucharzewski zajmuje wybitne i samodzielne stanowisko wśród naszych historyków; nie jest on połykaczem pyłów archiwalnych, nie popełnił „odkryć naukowych“ w wydobywaniu ciekawostek, tajników różnych większej i mniejszej miary nieboszczyków, jest zato socjologiem, wykazującym istnienie stałych czynników w historii i wzajemny stosunek zjawisk dziejowych. Ujmuje on syntetycznie fakty znane wielu historykom, lecz nienależycie przez nich rozumiane; jest pisarzem politycznym, usiłującym znaleźć drogowskaz polityczny przez badanie Rosji, która zaciążyła w ciągu wieków na naszym rozwoju.

Antyteza Rosji i Europy była przedmiotem rozważań szeregu pisarzy rosyjskich. Antytezę tę uznawali nie tylko pisarze kierunku słowianofilskiego, przeciwnicy cywilizacji Zachodu, głosiciele wielkiej przyszłości Rosji, opartej na odmiennym biegu jej historii. Pokrewne poglądy wypowiadała skrajna lewica rosyjska, pisarze rewolucyjni, począwszy od Hercena i Bakunina do późniejszych socjalistów, rewolucjonistów i narodników, będących ogniwem przejściowym od Hercena i Bakunina do rewolucjonistów 1905 r. oraz rewolucji marcowej 1917 r.

Rozważając składowe pierwiastki absolutyzmu rosyjskiego, Kucharzewski poza jarzmem tatarskim i Kościołem Bizantyjskim podkreśla zaborczość Rosji. Zaborczość zdobywania wciąż nowych krajów wytworzyła stosunek rządu do własnego narodu, oparty jakby na zasadzie stosunku państwa zaborczego do ludności podbitego kraju. Zasada despotyzmu — strach, jak słusznie twierdził Montesquieu, „strach, zabijający zdolność jasnego myślenia i wytrawiający z człowieka wszelką dzielność i prawość, był duszą systemu“ (tom I, str. 77).

Genezą samowładztwa rosyjskiego zajmował się szereg uczonych, tak rosyjskich jak i zachodnio - europejskich, i w tej dziedzinie nie było wiele nowego do powiedzenia. Kucharzewski zwraca więc szczególniejszą uwagę na konsekwencję rosyjskiego despotyzmu. Wcielenie rosyjskiego despotyzmu, Mikołaj I, potrzebował dokoła siebie ludzi miękkich jak wosk i nie tylko na własną opinię im nie pozwalał, lecz nie znosił zbyt wielkiej ruchliwości i inicjatywy (tom I, str. 113). Ponieważ Polska w XVIII stuleciu, nie posiadając mocnego rządu i armii, padła ofiarą samowładnej Rosji, powstał i upowszechnił się u nas pogląd, że rosyjskie samowładztwo było czynnikiem siły. Pogląd ten rozwiewa książka Kucharzewskiego.

Ciągąc za sobą korupcję, sprzedajność, carat demoralizował własną machinę państwową. Miał kornych niewolników, nie miał oddanych ludzi, bo do wierności potrzeba prawości i odwagi cywilnej (tom I, str. 141). „Carat —

to przede wszystkim organizacja wojenno-militarna. Za Mikołaja I połowa zgórą budżetu szła na wydatki wojska i floty. Lecz w czasie wojny wyszła na jaw wewnętrzna, nieuleczalna choroba: dezorganizacja, dziecko niewoli, i faworyzm, korupcja wskutek sprzedajności“ (tom I, str. 141). Nie może być silnego państwa, gdzie machina państwowa osłabia społeczeństwo. „Carat od wieku osacza poddanego nie tylko szablą i bagnietem, lecz i mocą wpływu przemożnego, duchowej sugestji. Od tronu przez urzędy idzie na Rosję wielka hypnoza, działająca na miliony, a potęgująca się ciągle przez prąd, idący od człowieka do człowieka przez dusze milionów.

„Ten wpływ możemy analizować, rozkładać chemicznie na pierwiastki, gdy go studjujemy; jako siła żywa, ujarzmiająca pokolenia, była to moc jednolita, potężna, była to atmosfera, ze wszech stron otaczająca, ogarniająca i przenikająca człowieka. Był to wielki gwałt duchowy, który łamał dusze: był to ów Anczar, drzewo jadowite, z poetyckiej opowieści Puszkina.

„Uginają się pod tą mocą dekabryści. Żukowski, Puszkina, Gogol, Czadajew: to, co stanowiło sławę i ducha Rosji, uderzało czołem przed carem. Sugestia ta przekracza granice Rosji, ściga Rosjan na obczyźnie; emigranci złorzeczący caratowi, Dołgorukow, Gołowin ulegają temu wpływowi. Ba, siła ta ściga nawet Polaków na wychodźstwie, którzy przeklinali carat: znajdziemy ślad jej demonicznego działania w prelekcjach słowiańskich Mickiewicza, w nauce Towiańskiego“.

„Po zbadaniu procesu dekabrystów aureola spiskowców blednie, a postać cara ukazuje się w ohydnych świetle. Zanim ich posłał na szubienicę i do min Sybiru, przedtem jeszcze upokorzył ich, podeptał, wydobył ze słabych, storturowanych i omamionych ludzi skrucę, łyzy, rozrzewnienie, wyrazy wdzięczności i oddania. Dusze ich złamały się, skruszyły, jak skruszyły się ongi dusze poddanych Iwana Groźnego, gdy z płaczem błagali Iwana, by dla dobra Moskwy pozostał na tronie“ (tom I, str. 153).

Kucharzewski rozbija legendę o dekabrystach niezłomnych, o Puszkinie wolnomyślnym i szlachetnym, przedstawiając jego uniżony stosunek do żandarmów Mikołaja, przypochlebianie się temu cesarzowi i wrogi stosunek do powstania 1831 r. „Należy ich zdusić... powolność nasza jest męcząca“, — pisał Puszkina na wiosnę 1831 r. i w sierpniu tegoż roku pisze wiersz *Oszczyrcem Rosji*, szyderczo odzywa się o pokonanych powstańcach polskich; Puszkina odczuwał, że się poniża. „Patrz na mnie jak na niewolnika, z którym można postępować, jak się podoba“, pisał do żony. Czadajew, autor słynnego listu, zarysowującego wadliwość ustroju Rosji, poniżał się na śledztwie. Hercen, pragnąc wydobyć się z pod nadzoru policyjnego i udać zagranicę, pisze do szefa żandarmów Bekendorfa: „Bóg wybrał ciebie, panie hrabio, pośrednikiem między monarchą a wszelkim człowiekiem zgwałconym zgryzotą“

(tom I, str. 83). Poeta Niekrasow, pragnąc uchronić swoje pismo *Sowrymiennik*, sławił wierszem kata Polski, krwawego Murawjowa - Wieszatiela, chociaż pochodził on z mieszanego małżeństwa, gdyż matka jego była Polką i pozostawała w duszy Polką. W swym wierszu *Matka*, pisanym na łożu śmierci, mówi Niekrasow o tem, że matka mu śpiewała w dobie jego dzieciństwa o powstaniu polskim 1831 r., cierpiała cierpieniem swoich rodaków po klęsce („Nieszczasna, Ty nieszczasna, Ty o rodina, ja znaju — wieś, kraj w krwi, wieś płomieniem objat“). Bakunin załamał się w więzieniu rosyjskim i pisał wiernopoddające memorjały do Mikołaja.

Daleko więcej hartu przejawiali późniejsi rewolucjoniści, teroryści. Teroryzm był reakcją na poniewieranie godności rewolucjonistów rosyjskich, osadzonych w więzieniu. Po wojnie rosyjsko - tureckiej wzmógł się ruch rewolucyjny w Rosji. Było to zrozumiałe. Rosjanin znosił ucisk polityczny, pieszcząc się myślą, że Rosja jest najpotężniejszym państwem: „Puskaj, ja rab, no rab caria wsielonnoj“ („choć jestem niewolnikiem, lecz niewolnikiem cara świata“), mówi jeden z bohaterów Niekrasowa, wyrażając uczucie, które tkwiło podświadomie niemal u wszystkich Rosjan. Otóż na porażki zewnętrzne Rosja reagowała ruchem rewolucyjnym. Tak było po wojnie krymskiej, powstał wówczas prąd, z jednej strony, reformatorski, z drugiej — rewolucyjny w Rosji. Wojna rosyjsko - turecka 1877 i 78 r., obfitująca w niepowodzenia oręża rosyjskiego, chociaż zakończona zwycięstwem, lecz w konsekwencji swej niosąca porażkę dyplomatyczną, wywołała nastrój opozycyjny społeczeństwa rosyjskiego, dający pewną podstawę moralną i pomoc materialną ruchowi rewolucyjnemu.

Rząd pragnął stłumić ruch rewolucyjny przez wzmożenie represyj. Z rozkazu oberpolicmajstra Trepowa wychłostano w więzieniu różgami więźnia politycznego Bogolubowa. W odpowiedzi na to Wiera Zasulicz strzelała do Trepowa, raniąc go lekko. Sąd przysięgłych ją uniewinnił. W tym samym niemal czasie na południu Rosji w Odesie stracono Kowalskiego. Wkrótce potem, 9 lutego 1879 r., gubernator charkowski ks. Krapotkin został wieczorem zastrzelony na ulicy przez Goldenberga. Przed zamachem napisał on list, zamieszczony w Nr. 4 *Ziemi i Woli* z 1879 r., w którym pisał o motywach, które go skłoniły do tego zamachu, za który gotów był zapłacić życiem. „Czytałeś, obywatelu rosyjski, broszurę *Pogrzebanie żywcem*; czy wiesz, co to jest więzienie centralne, katorżne... Brudna czterokątna klatka; okno do połowy zamazane czarną farbą; w norze nawpół ciemno... Zamiast pościeli kawałek wołoka, ani materaca, ani poduszki, ani kołdry... Oto mieszkanie katorżnika politycznego. Gdy zachoruje, nie umieszczą go w szpitalu, jak to czynią z kryminalistami; jemu, choremu, niezawsze dadzą pościel. Gdy będzie umierał, nikt nie przyjdzie, by wyrzec do niego słowo pociechy...

Zanuci pieśń ulubioną, by dać ulgę zbolątej duszy — pędzi do niego z obelgami ulicznika dozorca i bije go po znękanej twarzy, jak to zdarzyło się z Aleksandrowem w 1877 r. Zadeklamuje słabym głosem wiersze ulubionego poety — i oto jego, chorego, wbrew przepisom więziennym, zakuwają w kajdany, jak to czyniono z Płotnikowem w lutym 1878 r. Odmówi, oburzony brutalnem traktowaniem przez dozorcę, wyjścia ze swej celi na przechadzkę, jak to uczynił Gierasimow — spotka go wściekły krzyk dozorczy: za nieposłuszeństwo oćwiczę cię różgami!...". Wkrótce potem był zabity szef żandarmów Miezienczew i dokonano zamachu na jego następcę Drentelna, z którego jednak Drenteln uszedł cało.

Nie mniejszy był terror rządowy, nie rzadsze i nie boleśnieszce poniewieranie godności ludzkiej w reakcyjnej dobie Aleksandra III, lecz atmosfera polityczna była inna. Na terror, który był reagowaniem na okrucieństwo i poniewierkę ze strony organów rządowych, nie zdobywano się. Okres terroru w pierwszych latach po wojnie tureckiej był, jak słusznie zaznacza w swem dziele Kucharzewski, związany z psychologją wojny, która przyucza do niesienia swego życia w ofierze i przyzwyczajają do zabijania wroga.

Teroryzm, skierowany ku szefom żandarmów i wojennym gubernatorom, przeszedł w Rosji w terror centralny, t. j. skierowany przeciw osobie cara. Kucharzewski podaje bardzo obszernie szczegóły akcji terrorystycznej w Rosji, daje charakterystyki działaczy na mocy dawnej literatury nielegalnej, rewolucyjnej rosyjskiej i Krasnoarchiwa. Mamy tu ludzi jakby zahypnotyzowanych nienawiścią ku rządowi, ku caratowi. Są oni bardziej zahartowani na cierpienia od swych poprzedników. Wielu z nich nie załamuje się ani wobec wyroku śmierci, ani w powolnem dogorywaniu w kazamatach Szluseburga. Pewien procent, może niewielki, lecz ważny czynnik rozkładowy rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, przechodzi na służbę tajnej policji rosyjskiej, Ochrany. Z drugiej strony — agenci Ochrany występują jako prowokatorzy w ruchu rosyjskim. Był czas, kiedy trudno było rozgraniczyć, gdzie kończy się rewolucyjny ruch rosyjski a gdzie rozpoczyna się działalność agentów Ochrany. Były wypadki delegowania rewolucjonistów do tajnej policji dla uzyskiwania informacji, ochraniających rewolucyjnych działaczy. Była to śliska droga, jak też śliską drogą dla caratu była akcja prowokacyjna. Pułk. żandarmów Sudejkin był bliski zamiaru zorganizowania zabójstwa ministra Tołstowa. W późniejszym okresie, jeszcze nie objętym książką Kucharzewskiego, mamy Azowa - prowokatora, sprawcę między innymi zabójstwa Plewego.

Szczegóły walki rewolucyjnej z caratem i represje caratu, t. j. białego i czerwonego terroru, wykazują olbrzymią bezwzględność obu stron. Charakterystyczny i psychologiczny rys współczesnego bolszewizmu. Z wyjąt-

kiem dekabrystów, mających głównie na celu przeobrażenie ustroju politycznego Rosji, wprowadzenie wolności politycznej po zburzeniu caratu, ruch rewolucyjny rosyjski posiadał ideologję socjalistyczną i odnosił się najczęściej wrogo do form politycznych Europy.

Socjalizm jest pod pewnym względem przejawem protestu przeciwko istniejącym warunkom. Im bardziej warunki polityczne są przykre i krepujące, tem bardziej skłonna jest inteligencja do negacji istniejącego porządku, który socjalizm ma znieść. W tem leżała skłonność inteligencji rosyjskiej do socjalizmu: europejska myśl socjalistyczna załamywała się karykaturalnie w przystosowanej do niewoli umysłowości rosyjskiej.

Uboga przeszłość Rosji, jej zacofanie gospodarcze, niewytworzenie silnego mieszczaństwa, przemysłu, istnienie natomiast gminy rosyjskiej z periodycznym podziałem ziemi, uznał Hercen, jak i Czernyszewskij i późniejsi pisarze - narodnicy, za podstawę nowego ustroju. Rosja, nie obciążona przeszłością, może iść śmiało ku wielkiej przyszłości. Rzecz charakterystyczna: tysiącletnią bezpłodność uważano za podstawę płodnej przyszłości.

Przeszłość dziejowa narodu i jego terażniejszość ciążą nad psychologją człowieka, najbardziej wrogo odnoszącego się do istniejących warunków swego narodu. „Rosjanin, odwracający się od rzeczywistości, — pisze Kucharzewski, — nie jest w stanie wypłenić jej wpływu z własnej duszy; odwraca się z nienawiścią od despotyzmu carskiego, lecz w rojeniach jego o jutrze despotyzm zgóry otrzymywał prawo obywatelstwa. Im bardziej siłą się budowniczowie na stworzenie zgoła rzeczy nowej, im w większe brną ostateczności, tem bliżej stykają się z ostatecznością dawno wyklętą. Jakaś siła fatalna sprawia, że królestwo przyszłości wzorowane jest bezwiednie na caracie, jest jego odbiciem, co więcej, jego karykaturą. Duch, który tworzy przyszłość, jest w pętach przeszłości, szatan caratu zaczarował mózg i ramię Rosjanina“ (tom I, str. 115).

Bakunin w historii doktryn figuruje jako najwybitniejszy przedstawiciel anarchizmu; jednak charakter jego anarchizmu został ujęty należycie tylko przez Kucharzewskiego. „Anarchizm, to środek taktyczny dla Bakunina, strona krytyczna jego teorii; strona organiczna — despotyzm rewolucyjny, dążność do wytworzenia komory międzynarodowej, rządzącej terrorystycznie swymi członkami i usiłującej złamać stary świat swą furją rewolucyjną, przez skoncentrowaną siłę ataku, przygotowaną przez furję terrorystyczną i poprzedzoną przez akcję demoralizacji starego świata, niby przez gazy trujące. Rzekomy anarchista jest wrogiem władz istniejących, aspirantem własnego despotyzmu. Pomimo swego powierzchownego anarchizmu, jest Bakunin prawdziwym zwiastunem nowoczesnego komunizmu rosyjskiego, okrywającego się imieniem Marksa“. „Anarchja dla niego zro-

zumiała, despotyzm także; lecz władza państwowa ograniczona, starająca się skojarzyć interes całości z wolnością obywatela, to rzecz dla niego niepojęta“ (tom II, str. 199). „Idealizacja ludów na modłę rewolucyjną łączyła się z despotycznym narzucaniem programu, który inteligencja uznawała dowolnie za ludowy. Ten dualizm widzieliśmy u Bakunina. Stawiając w teorii na pierwszym planie interesy ludu, radzi praktycznie Francuzom posyłanie na wieś oddziałów rewolucjonistów miejskich, z widocznym celem narzucenia chłopom programu rewolucyjnego. Dworacy Pawła ściskali szarfą jego szyję, gdy zaczął uciskać kamarylę. Rewolucjoniści mieli w zanadrzu postronek kolektywizmu rolnego, który zczasem spróbują zacisnąć koło szyji ludu suwerennego“ (tom V, str. 61).

„Dążności konstytucjonalizmu traktowali niechętnie, uważali, że walka o wolność nie jest potrzebna ludowi, a ustroj przedstawicielski przyniosłby korzyść burżuazji“. „Osobliwość umysłowości rosyjskiej stanowiło to, że obydwie bieguny polityczne, sfery rządzące i rewolucjoniści - ludowcy, równie wrogo, każdy ze swego stanowiska, traktowały ruch konstytucyjny. U góry traktowano ten ruch, jako zuchwały zamiar ograniczenia świętej władzy monarszej i poddania pod kontrolę parlamentu rosyjskiego biurokracji, która powinna być podległa tylko monarsze samowładnemu. Na dole, w podziemiach, traktowano przez długi czas ustroj konstytucyjny, jako korzystny tylko dla klasy posiadającej, uprzywilejowanej, jako narzędzie ucisku i wyzysku mas ludowych przez burżuazję. W okresie jednak wojny tureckiej zaczął się powoli kruszyć w kołach rewolucyjnych niedorzeczny przesąd, jakoby wolność polityczna miała pogorszyć dolę ludu rosyjskiego“ (tom V, str. 339 — 340).

Żelabow, organizator zamachów na Aleksandra II, między innymi zamachu z 13 marca, którego ofiarą padł Aleksander II, członek centralnego komitetu Narodnej Woli, był zwolennikiem ustroju konstytucyjnego. Komitet centralny Narodnej Woli w liście otwartym do Aleksandra III domagał się zwołania Ziemskiego Soboru (reprezentacji Rosji), obiecując, że podda się jego woli i zaniecha akcji terrorystycznej. A jednak dążności konstytucyjno-wolnościowe w rosyjskim ruchu rewolucyjnym były w najlepszym razie uważane za środek, wiodący do socjalizacji, i znajdowały wielokrotnie opozycjonistów na łamach prasy nielegalnej lub u wpływowych pisarzy, na których kształcili się rewolucjoniści rosyjscy. Znakomity publicysta, ludowiec Michajłowski, wypowiadał się przeciwko konstytucji, sądząc, iż ta przyniosłaby korzyści tylko burżuazji: „Wolność to rzecz wielka i poważna,—pisał,—lecz nie chcemy wolności, jeśli ona, jak w Europie, ma zwiększyć nasz odwieczny dług względem ludu“. Znane są też aforyzmy Michajłowskiego: „Niech chłoszczą mnie, skoro chłop jest chłostany“ (tom VII, str. 256). Moż-

naby przytoczyć jeszcze drugi charakterystyczny aforyzm Michajłowskiego, pominięty przez Kucharzewskiego: „Dorożkarzu, tyś wolny, niech żyje wolność!“. Wolność polityczna dla Michajłowskiego przy ustroju kapitalistycznym jest wolnością umierania z głodu.

Rosyjscy ludowcy (*narodniki*) byli duchowemi, chociaż nieprawem dzieciem słowianofilów, którzy wyrzekali się tego potomstwa. Rosyjscy marksiści byli duchowemi dziećmi rosyjskich „zachodowców“ (*zapadników*), t. j. tych, którzy pragnęli Rosję upodobnić do zachodu Europy. Główny teoretyk rosyjskiego marksizmu przedwojennego, Plechanow, dowodził, że w wyniku ostatecznym konstytucja przyniesie pożytek proletarjatowi. „Narazie Plechanow wygłasza hasło o wolność polityczną. Marksisci rosyjscy przystępowali do budowy demokracji mieszczańskiej, zgóry zapowiadając walkę z nią; na podstawie tej demokracji burżuazyjnej mieli przygotować stopniowo socjalizm. A zwyczajni gmach socjalizmu mieli postawić dopiero na gruzach ustroju burżuazyjnego. Budowniczości - burzyciele wznosili gmach, zgóry zapowiadając, że wart on jest zagłady. Trudno było u takich pionierów demokracji politycznej poszukiwać konsekwencji, szczerości, a tembardziej zapалу“ (tom VII, str. 257).

Oprócz tego, w programie marksistów figurowały instytucje zgoła niedemokratyczne — dyktatura proletariatu, godząca w demokrację podwójnie: przez ustanowienie władzy arbitralnej i przez oddanie tej władzy nie w ręce narodu, *demos*, lecz w ręce jednej klasy. Będąc ortodoksalnym marksistą, Plechanow nie uświadamiał sobie, że był częstokroć blancistą. Blancizm rosyjski był czemś samorodnem. Hercen, Bakunin i Tkaczow planowali pochwylenie władzy przez rewolucyjną organizację, która przeprowadzi przewrót socjalny. Gdy w siódmym dziesięcioleciu rząd rosyjski przeprowadzał reformy zgóry, wydawało się rewolucjonistom, że należy iść o wiele dalej w tych reformach, że można zrealizować ideały maksymalne, trzeba mieć tylko władzę. Kiedyś w moich dyskusjach syberyjskich ku oburzeniu moich towarzyszy wygnania twierdziłem, że rewolucja rosyjska, to walka dwóch biurokracji: jednej, aktualnej, posiadającej władzę, więc rządzącej, i drugiej, aspirującej do władzy, bardziej rącej i pragnącej rządzić metodami dziś rządzącej biurokracji. Przypomina mi się to, gdy czytam u Kucharzewskiego jego cytaty pism i przemowy rewolucjonistów rosyjskich, np.: „Bynajmniej nie rzekamy się teroru na zawsze. Gdy władza znajdzie się w naszych rękach, uważać będziemy za pierwszy obowiązek postawienie na placu Kazańskim szubienicy i Mikołajowi II wypadnie poznać się z nią...“. „Każdy demokrat socjalny, — mówił Plechanow, — powinien być terrorystą à la Robespierre. Nie będziemy, wzorem socjalistów - rewolucjonistów, strzelać teraz do cara

i sług jego. Lecz po zwycięstwie postawimy dla nich gilotynę na placu Kazańskim“ (str. 269, tom VII).

Marksizm — to doktryna ewolucyjna. Dyktatura proletariatu ma nastąpić, według tej doktryny, gdy rozwój przemysłowy wytworzy większość proletariacką, gdy warunki produkcji dojrzeją do uprzemysłowienia. Lecz Rosja od tego bieguny kapitalizmu była bardzo daleka. Dyktatura proletariatu musi być zamieniona przez dyktaturę organizacji zwartej, która pochwyci władzę w swe ręce i narzuci społeczeństwu nowe formy gospodarcze. To narzucenie wymaga terroryzmu. Stąd apologja terroryzmu Wielkiej Rewolucji francuskiej u Plechanowa, stąd rządy terrorystyczne Sowietów. Lenin w swoim czasie mówił z uznaniem o Plechanowie, że w nim żyje rzeczywisty Jakobin.

W przeciwieństwie do Marksa Bakunin twierdził, że „w krajach o wysokim rozwoju kapitalizmu rewolucja socjalna zostanie utrudniona przez potężny rozwój burżuazji i przez tępienie instynktu rewolucyjnego i niecierpliwości rewolucyjnej w oświeconej, zamożnej warstwie robotniczej“. Nie dojście kapitalizmu do apogeum, lecz przerwanie rozwoju jego przez dokonaną w porę rewolucję ma być celem według Bakunina. Liczył on na kraje o niskim stopniu oświaty i rozwoju gospodarczego, na kraje rolnicze, na ludność chłopską, na proletariąt nędzy, na Włochy, Hiszpanję i kraje słowiańskie. Rewolucja rosyjska jest jakby oparta na tezie Bakunina i ją usprawiedliwia.

Poczucie indywidualnej godności, zabijane przez ustrój państwowy Rosji, wywoływało brak poczucia klasowej godności i wartości społecznej ze strony przodujących warstw. „Wyście kamienie węgielne przyszłego ustroju — szeptali do robotników propagatorzy, — wyście rewolucjoniści. Robotnicy to bohaterowie. A my, inteligenci — jesteście nic nie warci. My, szlachta, wszyscyśmy dranie“ — i t. p. rzeczy mówili rewolucjoniści robotnikom, jak słusznie podaje Demagoryj Makryjewicz, cytowany przez Kucharzewskiego.

Rewolucjoniści rosyjscy, jak Hercen, a szczególnie Bakunin, tak i późniejszej formacji byli i są imperjalistami. Imperjalizmem usiłował Bakunin w swym wyznaniu wobec Mikołaja I zjednać łaskę cara; przejawiał przytem dużą niechęć do Niemiec, a szczególniejszą nienawiść do Austrii, idąc nieświadomie torami myśli oficjalnej polityki rosyjskiej. Hercen zgadzał się na odłączenie Polski od Rosji: „Niech się stanie jej wola, lecz odrywając się od Rosji, Polska odrywa się od nowego życia“. Marzeniem jego — federacja słowiańska, kierowana przez Rosję, która przekroczyła istniejące formy społeczno-polityczne Zachodu.

Imperjalizm rewolucjonistów rosyjskich jest, z jednej strony, przejawem odziedziczonych, zaborskich instynktów Rosjanina, z drugiej — naturalną konsekwencją ich rewolucjonizmu. Kto dla uszczęśliwienia swego na-

rodu pragnie mu narzucić lub narzucił ustrój upragniony, ten pragnie to dobrodziejstwo upowszechnić na państwa obce, posługując się też gwałtem.

Z ruchem rewolucyjnym byłem zaznajomiony dobrze. Sześć lat spędziłem na Syberji wśród przedstawicieli tego ruchu różnych formacji politycznych, od Zaicznewskiego, reprezentanta *Ziemi i Woli* z 1861 r., do przedstawicieli rosyjskiej socjalnej demokracji, narodników i narodnowolców znałem bezliku; należałem do tych, którzy bardzo wczesnie pochłaniali rosyjską literaturę radykalną, będącą podstawą rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Otrząsnąłem się od jej wpływu, odniosłem się do niej krytycznie na Syberji. Czytając książkę Kucharzewskiego, różne dawne wspomnienia ludzi i idei tłoczyły się w mym umyśle. Z poglądami Kucharzewskiego pozostawałem w zgodzie i dziwiło mię tylko to, że Kucharzewski, Warszawiak, stojący zdaleka od rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, na mocy źródeł drukowanych doskonale zrozumiał jego genezę i psychologję.

MIKOŁAJ ŁOSSKIJ

MATERJALIZM DIALEKTYCZNY W Z. S. R. R.

II

3. MATERJALIZM DIALEKTYCZNY

W ZSRR obowiązuje urzędowo określony system filozoficzny, mianowicie materjalizm Marxa i Engelsa, zwany dialektycznym (w skróceniu „diamat“). Przed r. 1925 liczni filozofowie sowieccy, zwłaszcza zaś przyrodnicy, akcentując swą wierność marxizmowi, niezbyt dokładnie zdawali sobie sprawę z różnicy pomiędzy materjalizmem dialektycznym a mechanistycznym. W 1925 r. po raz pierwszy został wydrukowany rękopis Engelsa *Dialektyka natury*, która wywołała gwałtowny rozłam wśród sowieckich zwolenników Marxa, pomiędzy „dialektykami“ i „mechanistami“. Rozpoczęła się fanatyczna walka „na dwa fronty“ — przeciw „mniejszewizującemu idealizmowi oraz mechanistycznemu materjalizmowi“. Jasno zarysowały się kształty materjalizmu dialektycznego¹⁾.

Zastanówmy się przedewszystkiem, co zwolennicy materjalizmu dialektycznego rozumieją pod nazwą „materjalizm“. Engels twierdzi, zaś Lenin współczująco mu potakuje, że filozofowie dzielą się na materjalistów, idealistów oraz agnostyków. Dla materjalisty, powiada Lenin, materja, przyroda

¹⁾ W swojej ekspozycji materjalizmu dialektycznego będę miał na względzie przeważnie następujące książki i artykuły: Engels: *Dialektyka przyrody* ze wstępn. artykułem D. Riazanowa *Marx i Engels o dialektyce przyrody*, wyd. 4, 1930 r.; Lenin: *Materjalizm a empirjokrytycyzm*, „Dzieła“, t. X; Deborin: *Hegel a materjalizm dialektyczny*, artykuł wstępny do tłumaczenia dzieł Hegla, t. I, wyd. 2, 1929 r.; B. Bychowski: *Szkic filozofji dialektycznego materjalizmu*; I. Łuppoł: *Na dwa fronty*, 1930 r.; B. Pozner: *Dialektyczny materjalizm — filozofja proletariatu*, 1933 r. Powołując się na te książki, będę podawał ich tytuły w skrótach.

(był fizyczny) jest czemś pierwotnem, natomiast duch, świadomość, wrażenie, treść psychiczna — czemś wtórnem. Dla idealistów, przeciwnie, duch jest bytem pierwotnym. Agnostycy wreszcie negują poznawalność świata, względnie jego istotnych podstaw.²⁾ „Niema nic we wszechświecie prócz poruszającej się materji, a poruszająca się materja nie może poruszać się inaczej, jak w przestrzeni i czasie“ (Lenin). „Podstawowemi formami wszystkiego co istnieje są przestrzeń i czas, byt poza czasem reprezentuje nie mniejszy nonsens, aniżeli byt poza przestrzenią“ (Engels).

Na podstawie tego, co zostało przed chwilą przytoczone, można dojść do konkluzji, że materializm dialektyczny wychodzi z tak samo jasnego i określonego pojmowania materji, jakie posiada materializm mechanistyczny: materja jest to byt przestrzenny i nieprzenikliwy, oraz poruszający się czyli zmieniający miejsce w przestrzeni. A jednak zaraz zobaczymy, że tak nie jest.

„Pojęcia materji używa się w dwóch znaczeniach“, mówi Bychowski. „Rozróżniamy pomiędzy filozoficznym pojęciem materji a jej pojęciem fizykalnem. Nie są to pojęcia sprzeczne, lecz określenia jedynej materji z dwóch odmiennych punktów widzenia“. Idąc za Holbachem, Plechanowem i cytując Lenina, określa on materję z teoretyczno-poznawczego, filozoficznego stanowiska jako to, „co, działając na nasze narządy zmysłów, wywołuje wrażenia; materja jest realnością przedmiotową, daną nam we wrażeniu“ (Lenin). W tej definicji tkwi tylko uznanie obiektywnej realności, t. j. niezależnego od naszej świadomości istnienia materji oraz „zmysłowego pochodzenia wiedzy o niej“, brak natomiast wskazania, jakie są jej własności. Oczekujemy, że odpowiedź na to pytanie da nam definicja materji ze stanowiska fizyki. Ale nic podobnego! „Co to znaczy: przytoczyć określenie?“, pytają Lenin, Bychowski i inni. Znaczy to: podporządkować dane pojęcia pod bardziej ogólne pojęcie rodzajowe, jako gatunek tego ostatniego, i wskazać jego różnicę gatunkową (przykład: w definicji „kwadrat jest to prostokąt równoboczny“ — prostokąt jest pojęciem rodzajowym, zaś „równoboczny“ — cechą gatunku). Lecz „materji nie można zdefiniować przez jej rodzaj i różnicę gatunkową, ponieważ materja jest to wszystko co istnieje, pojęcie najbardziej ogólne, rodzaj wszystkich rodzajów. Wszystko co istnieje stanowi różne gatunki materji, zaś sama materja nie może być definiowana jako poszczególny wypadek jakiegoś rodzaju. Właśnie dlatego nie można wskazać różnicy gatunkowej materji. Skoro materja jest wszystkim co istnieje, nie dadzą się pomyśleć takie jej cechy, ze względu na które różni się ona od czegoś innego, albowiem tem innem może być coś nieistniejącego, czyli nie może go być wcale“³⁾.

²⁾ Lenin: **Materializm i empiryzm**; Engels: **Ludwig Feuerbach**.

³⁾ Bych., 78; Len., 118.

A więc materjaliści-dialektycy bardzo ułatwili sobie zadanie uzasadnienia światopoglądu materialistycznego. Bez żadnych dowodów twierdzą: „Materia jest to wszystko co istnieje“, „Byt co do swojej istoty jest kategorią materialną“ (Deborin, XLI). Teraz można będzie, czyniąc zadość postulatowi dzisiejszej nauki filozofji, przypisywać „bytowi“ bardzo różnorodne przejawy, własności i zdolności bardzo obce materji i temniemniej nazywać własną doktrynę materializmem, powołując się na to, że przecież „materia jest to wszystko co istnieje“. Engels w swej *Dialektyce natury* wskazuje drogę, która prowadzi do poznania tego, czym jest materia: „Skoro poznaliśmy formy ruchu materji (do czego, co prawda, brakuje nam wiele ze względu na krótkość istnienia przyrodoznawstwa), temsamem poznaliśmy materję, do czego i ogranicza się nasze poznanie“ (Ng., 17). To oświadczenie brzmi nader materialistycznie, jeżeli przez wyraz ruch rozumieć to co jest przyjęte w nauce, a mianowicie zmianę miejsca w przestrzeni. A jednak już na następnej stronie Engels tłumaczy, iż materializm dialektyczny przez wyraz ruch oznacza „zmianę wogóle“. Wszyscy dialektycy-materjaliści przyjmują taką terminologję: przez wyraz ruch oznaczają oni nie tylko zmianę w przestrzeni, lecz i każdą zmianę jakościową. W ten sposób dotychczas o materji wiemy jedynie to, co następuje: materją jest wszystko co istnieje i podlega zmianom. Nie rozpaczajmy jednak: zaznajamiając się z walką „dialektyków“ przeciwko materializmowi mechanistycznemu oraz innemi ich doktrynami, można sobie wyrobić pewne określone pojęcie o całej ich filozofji.

Filozofja, oświadcza Engels, mając na myśli także materializm mechanistyczny, ma do czynienia „z kategorjami stałemi, zaś dialektyczna — z płynnemi“ (Eng., str. 1c). Np. zgodnie z materializmem dialektycznym, najmniejsze cząstki są niezmiennie i jednakowe. Ale, powiada Engels, „przyrodoznawstwo, dążące do odnalezienia materji jako takiej, pragnące różnice jakościowe sprowadzić do czysto ilościowych różnic w skupieniach identycznych cząstek najmniejszych, postępuje tak, jakgdyby zamiast wiśni, gruszek, jabłek poszukiwało ono owocu jako takiego, zamiast kotów, psów, owiec i t. d. szukało ssaka jako takiego, gazu jako takiego, kamienia jako takiego, związku chemicznego jako takiego, ruchu jako takiego“. „Ów jednostronny pogląd matematyczny, zgodnie z którym materia daje się definiować w sposób ilościowy, zaś jakościowo jest jednolita — reprezentuje właśnie punkt widzenia francuskiego materializmu XVIII stulecia“ (Eng., 103; Łuppoł, 146). Materializm dialektyczny jest wolny od jednostronności poglądu mechanistycznego, ponieważ kieruje się trzema następującemi prawami dialektyki, które są abstrakcją na podstawie „historji natury i społeczeństwa ludzkiego“: „prawem przeistoczenia ilości w jakość — i odwrotnie; prawem wzajemnego przenikania przeciwieństw; prawem negowania negacji“ (str. 157).

Drugie i trzecie prawo omówiliśmy powyżej w rozdziale o dialektycznej metodzie Hegla, a pierwsze polega na tem, że zmiany ilościowe w określonej fazie prowadzą do gwałtownych zmian jakości. Zresztą wogóle „jakości niema bez ilości, oraz ilość bez jakości“ (Deb. XX). Ruch, to jest każda zmiana, jest zjawiskiem nawskroś dialektycznem. „Podstawowa cecha każdej zmiany, jak nam wiadomo, polega na tem, że pewna rzecz jest zaprzeczana w swoim ruchu, że przestaje być ona tem czem była, przybiera nowe kształty egzystencji. Przy przeistoczeniu się w nową jakość, w trakcie powstania nowej, dawna jakość nie znika bez śladu, lecz wchodzi w nową jakość jako czynnik podrzędny. Zaprzeczenie, jeżeli skorzystamy z terminu używanego w dialektyce, jest to „zdjęcie“⁴⁾ Zdjęcie z czegoś jest taką negacją rzeczy, przy której ona się kończy, lecz zarazem zachowuje się na nowym szczeblu. W ten sposób pokarm lub tlen jest asymilowany przez organizm, w którym się przekształca; w ten sposób roślina przechowuje substancje odżywcze podłoża; w ten sposób historia nauki i sztuki wchłania tradycje przeszłości. To co pozostaje po minionem podlega nowym prawom rozwoju, trafia w układ nowych ruchów, wpręga się do powozu nowej jakości. Przemiana energii jest jednocześnie konserwacją energii. Niszczenie kapitalizmu jest zarazem wchłanianiem technicznych oraz kulturalnych owoców rozwoju gospodarki kapitalistycznej. Powstanie wyższych form ruchu nie jest zniszczeniem niższych, lecz ich „zdjęciem“. Prawa mechaniczne istnieją w sferze skomplikowanych form ruchu, jako uboczne, podrzędne, „zdjęte“.

„Jak przebiega dalszy rozwój rzeczy? Po przekształceniu się pewnej rzeczy w jej przeciwieństwo, oraz „zdjęciu“ przez nią stadjum poprzedniego, rozwój odbywa się dalej na nowej podstawie, przyczem na pewnym szczeblu tego rozwoju rzecz znów po raz drugi przeistacza się w swoje przeciwieństwo. Czy znaczy to, że przy tem drugiem przeistoczeniu rzecz powraca do swego stanu pierwotnego? Nie. Drugie zaprzeczenie czyli — korzystając z terminologii używanej przez dialektyków — zaprzeczenie zaprzeczenia nie jest cofnięciem się wstecz ku stanowi pierwotnemu. Negacja negacji oznacza zdjęcie nietylko pierwszego, lecz i drugiego stadjum rozwoju, wskazuje, że zapanowała nowa faza tego ostatniego. Tu odbywa się ruch nie rotacyjny, lecz postępowy w postaci spirali“⁵⁾.

Przeciwieństwo, w którem rzecz przeistacza się w swym rozwoju, jest „czemś większem, niż zwykła różnica“ — oświadcza Bychowski. Przeciwieństwo „jest różnicą kwalifikowaną, wewnętrzną, istotną, konieczną, nie dającą się pogodzić różnicą pod pewnym określonym względem. Cały świat nic innego

⁴⁾ Charakterystyczny termin sowiecki (uw. tłumacza).

⁵⁾ Lenin, Karol Marx, tom XVIII, wyd. II.

nie reprezentuje jak jedność takich przeciwieństw, jedność dualistyczną, zawierającą w sobie begunowość. Procesy elektryczne i magnetyczne reprezentują jedność przeciwieństw“. „Materia jest jednością protonów i elektronów, jednością nieprzerwanej fali, a wyodrębnionej cząstki. Niema działania bez przeciwdziałania. Każde powstanie jest zarazem koniecznem niszczeniem czegoś. Wytrwanie istot lepiej przystosowanych jest zagładą mniej zdolnych do życia. Społeczeństwo klasowe reprezentuje jedność przeciwieństw“. „Proletariat i burżuazja są to kategorie społeczne, których różność pozostaje na poziomie przeciwieństwa“ (Bych., 211). Podstawowa zasada światopoglądu dialektycznego brzmi: świat jest jednością rozdwojoną, jednością przeciwieństw, podkładem sprzeczności wewnętrznych⁶⁾. „Dialektyka obiektywna“, t. j. ruch w formie przeciwieństw, „panuje w całej naturze“, mówi Engels. „Dostrzeżenie jedności przeciwieństw w naturze“, powiada Lenin, „jest warunkiem poznania wszystkich procesów w ich ruchu samodzielnym, w ich rozwoju spontanicznym, w ich istotnem życiu“⁷⁾.

Tu objawia się głęboka różnica między materjalizmem dialektycznym a mechanistycznym. „Dla mechanisty“, stwierdza Bychowski, „sprzeczność jest sprzecznością mechaniczną, sprzecznością zderzających się rzeczy, sił skierowanych przeciw sobie. W mechanicznem ujęciu ruchu sprzeczność może być tylko zewnętrzna, nie jest ona sprzecznością tkwiącą i urzeczywistniającą się w jedności, między jej elementami niema koniecznego związku wewnętrznego“. „Za metodologję sformułowaną w sposób wyraźny, a opartą na zamianie dialektycznej zasady jedności przeciwieństw na mechanistyczną zasadę starcia się sił, skierowanych w przeciwnych kierunkach, może służyć „teorja równowagi“ (A. Bogdanow, N. Bucharin). Zgodnie z wymienioną doktryną, „równowagą nazywa się taki stan rzeczy, kiedy ona sama przez się, bez zastosowania energii z zewnątrz, nie może zmienić danego stanu“. „Naruszenie równowagi jest rezultatem zderzenia się sił skierowanych przeciw sobie“, mianowicie sił jakiegokolwiek układu, oraz sił otaczającego środowiska.

Podstawowe rozbieżności pomiędzy tą mechanistyczną teorją równowagi a dialektyczną są następujące: po pierwsze „z punktu widzenia teorji równowagi nie istnieje immanentne powstawanie różnic, rozdwojenie się czegoś jednego, wzajemne przenikanie przeciwieństw“. „Przeciwieństwo odrywa się od jedności, elementy antagonistyczne są sobie obce, są od siebie niezależne, sprzeczność pomiędzy nimi jest czemś zewnętrznem i przypadkowem. Po drugie — sprzeczności wewnętrzne, jako poru-

⁶⁾ Bych., 213; Pozner, 59.

⁷⁾ Lenin: W sprawie dialektyki. Pod znamieniem marksizma, 1925, Nr. 5, 6.

szająca siła rozwoju, są zastąpione przez sprzeczności zewnętrzne, przez antagonizm układu i środowiska. Zamiast samodzielnego ruchu przyjmuje się ruch wskutek oddziaływania z zewnątrz, wskutek uderzenia. Wewnętrzne stosunki układu sprowadzone są do szczybla zjawisk pochodnych, zależnych od stosunków zewnętrznych. Wewnętrzne prawa jakościowo określonych rzeczy tracą charakter motoru rozwoju i stają się funkcją zewnętrznych związków między przedmiotami. Po trzecie—teoria równowagi całą różnorodność postaci ruchu redukuje do mechanicznego zderzenia ciał. Zapożyczony z mechaniki schemat równowagi pochłania bogactwo wyższych, nadmechanicznych (biologicznych, socjalnych) rodzajów rozwoju.

Po czwarte — w teorii równowagi wzajemny stosunek pomiędzy ruchem i spoczynkiem jest przewrócony do góry nogami. Jest ona przecież nauką o równowadze, aczkolwiek względnej i niestałej. Ruch w teorii równowagi jest postacią spoczynku, lecz nie odwrotnie. Nie ruch niesie w sobie spoczynek, równowagę, lecz równowaga jest podkładem ruchu. Po piąte — teoria równowagi jest teorią „abstrakcyjnej zmiany ilościowej“. „Siła większa określa kierunek mniejszej“. „Przejdźcie w nową jakość, powstanie nowych form rozwoju, nowego układu praw, — to wszystko nie da się ułożyć w sztywnym i płytkim schemacie równowagi. Wreszcie, po szóste, „negowanie negacji, „zdjęcie“ dodatniego i ujemnego czynnika rozwoju, powstanie momentu nowego mechanizmu zastępują przez powrót równowagi pomiędzy układem i środowiskiem“⁸⁾.

O ile zmiana jest samodzielnym ruchem dialektycznym na gruncie sprzeczności wewnętrznych — zasługuje ona na nazwę rozwoju. Jak powiedział Lenin i powtarza za nim Deborin, zmiana ma charakter immanentny. „Przedmiot z konieczności rozwija się w określonym kierunku i może rozwijać się w innym kierunku dzięki swej naturze immanentnej, dzięki swej istocie“ (Deb., XCVI).

Nie dziwny się teraz, znajdując u Lenina uwagę co do *twórczego* charakteru rozwoju. Lenin rozróżnia „dwie koncepcje rozwoju (ewolucji): rozwój jako wzrost i upadek, jako powtórzenie, oraz — rozwój jako jedność przeciwieństw (rozdwojenie się czegoś jednego na wzajemnie wykluczające się przeciwieństwa, oraz wzajemny między nimi stosunek). Pierwsza koncepcja jest błada, sucha, uboga; druga tchnie życiem. *Tylko* druga daje rozwiązanie problemu autonomicznego ruchu wszystkiego, co istnieje; tylko ona tłumaczy „skoki“, „luki w ciągłości“, „przeistoczenie się w przeciwieństwo“, „zagładę tego co stare, a powstawanie nowego“⁹⁾.

⁸⁾ Bychowski, 213 cc.

⁹⁾ Lenin: W sprawie dialektyki, str. 15.

W artykule *Karol Marx* Lenin wskazuje następujące cechy dialektycznej doktryny o rozwoju: „Rozwój, jakgdyby powtarzający szczeble już osiągnięte, lecz w sposób odmienny, na wyższym jakgdyby poziomie (negowanie negacji), rozwój, że tak powiem, o kształcie spiralnym, nie zaś według linii prostej; rozwój gwałtowny, katastrofalny, rewolucyjny; przerwy w ciągłości ewolucji; przemiana ilości w jakość; wewnętrzne impulsy do rozwoju, dostarczane przez sprzeczność, przez zderzenie się różnych sił oraz tendencji, działających na dane ciało bądź w granicach pewnego zjawiska lub też społeczeństwa; zależność wzajemna i ścisły, nierozzerwalny związek wszystkich aspektów danego zjawiska (którego coraz to nowe strony wciąż odkrywa historia), związek wytwarzający jedyny proces ruchu kosmicznego: — oto są niektóre rysy dialektyki jako bardziej treściwego (niż tamten, utarty) poglądu na rozwój“¹⁰⁾.

Jeżeli ewolucja według Lenina posiada twórczy charakter, jeżeli jest ona przytem immanentnym, zawierającym „wewnętrzne impulsy“. „spontaniznym“ ruchem autonomicznym — jest zrozumiałe, iż przejścia z jednego szczebla bytu na inny można interpretować nie tylko jako fakt, lecz również jako wartość. „Każdy proces rozwoju“, mówi Deborin, „jest postępowym ruchem od form niższych ku formom lub szczeblom wyższym, od definicji oderwanych, ubogich w treść ku definicjom bardziej bogatym, treściwym i konkretnym. Szczebel wyższy zawiera w sobie niższe, jako „zdjęte“, t. j. niegdyś samodzielne, lecz obecnie samodzielności pozbawione. Forma niższa przeistoczyła się w wyższą; temsamem nie znikła ona bez śladu, tylko przekształciła się w formę inną, wyższą“ (Deb., XCV). A więc teraz łatwo zrozumieć, że dialektyczny ruch samodzielny można nazwać procesem *historycznym*. „Wyższa forma jest związana z niższą“, ciągnie Deborin, „i wobec tego niema wyniku bez drogi rozwoju, która doń doprowadziła. Każde określone zjawisko, ewentualnie każda dana forma powinna być rozpatrywana jako ta, która stała się lub rozwinęła — inaczej mówiąc: winniśmy ją traktować jako twór historyczny“. Marx i Engels, powiada Riazanow, „ustalają historyczność zjawisk natury i społeczeństwa“¹¹⁾.

Nawet natura nieorganiczna znajduje się w stanie rozwoju i przemiany. Riazanow powołuje się na następujące słowa Marxa: „Nawet pierwiastki nie pozostają w stanie spoczynku. Podlegają one ciągle przemianom i owa przemiana tworzy pierwszy szczebel życia ziemi, proces meteorologiczny. W życiu

¹⁰⁾ Lenin: *Karol Marx*, Pisma, wyd. 2, t. XVIII, str. 11 c.

¹¹⁾ Deborin, XCV c; Riazanow, XVIII. Co do pojęcia rozwoju historycznego, jako systemu, w którym teraźniejszość powstaje pod wpływem *s a m e j p r z e s z ł o ś c i*, nie zaś tylko jej skutków, bezpośrednio stykających się z dobą obecną, patrz moją broszurę *Intelejonistyczna filozofja Bergsona*, rozdz. I.

ustroju znika wszelki ślad poszczególnych pierwiastków jako takich¹²⁾. W tych słowach z dostateczną jasnością znalazło wyraz przekonanie Marxa, że wyższe szczeble bytu światowego jakościowo głęboko różnią się od niższych i dlatego nie mogą być pojmowane jako coraz to więcej złożone zespoły niższych, prostszych elementów. Ta myśl szczególnie jest zaakcentowana w dzisiejszym dialektycznym materializmie Sowietów. Tworzy ona ostrą granicę między nim a materializmem mechanistycznym. „Sprowadzać rzeczy złożone ku prostym — znaczy rezygnować ze zrozumienia tego, co skomplikowane“, powiada Bychowski. „Sprowadzać całą różnorodną wielość świata do porządku mechanicznego — znaczy to wyrzec się poznania jakiegokolwiek bądź porządku rzeczy, z wyjątkiem najprostszego — mechanistycznego, i ograniczyć się do zrozumienia jedynie elementarnych postaci ruchu“. „Atom składa się z elektronów, lecz porządku istnienia atomu nie wyczerpują prawa ruchu poszczególnych elektronów. Drobiną składa się z atomów, lecz nie daje się wyczerpać prawami ich egzystencji. Komórka składa się z drobin, organizm — z komórek, gatunek biologiczny — z ustrojów, ale te zjawiska nie mogą być wyczerpane zapomocą praw życia swych elementów składowych.

Istnieją trzy podstawowe dziedziny rzeczywistości: świat nieorganiczny, świat organiczny (w którego zakresie geneza świadomości tworzy swoją drogą lukę o doniosłym znaczeniu), oraz świat społeczny. Postaci ruchu każdej z tych dziedzin nie dają się sprowadzić do innych, są one jakościowo swoiste, aczkolwiek wyłoniły się z innych“. Mechanista sprowadza prawa organiczne do praw mechanicznych, „a zarazem i układy praw socjalnych, sprowadzone do biologicznych, również toną w układach praw mechanicznych“. Dla niego socjologia przeistacza się w refleksologję zbiorową (Bechterew). Tymczasem w rzeczywistości każdy szczebel wyższy podlega swym własnym prawom; owe „specyficzne układy praw, nadmechaniczne rodzaje ewolucji nie są w sprzeczności z prawami mechanicznymi i nie wykluczają ich istnienia, lecz górują nad nimi, jako podrzędnymi względnie drugorzędnymi“¹³⁾.

Engels mówi: „Każda z wyższych postaci ruchu zawsze jest związana w sposób konieczny z realnym ruchem mechanistycznym, podobnie jak wyższe formy ruchu produkują jednocześnie inne jego odmiany; działanie chemiczne jest niemożliwe bez zmiany temperatury oraz stanu elektryczności, życie organiczne jest niemożliwe bez zmian mechanicznych, drobinowych, chemicznych, termicznych, elektrycznych, i t. p. Lecz obecność tych form ubocznych nie wyczerpuje istoty formy zasadniczej w każdym poszczególnym wy-

¹²⁾ Cytat Riazanowa z artykułu Marxa **O komisjach stanów w Prusach**.

¹³⁾ Bychowski, 202 — 204; Jegorszyn: **Przyrodoznawstwo, filozofja i marxizm**, 1930; Pozner, 62, 64.

padku. Niewątpliwie, kiedyś „sprowadzimy“ w drodze eksperymentalnej myślenie do ruchów drobinowych i chemicznych w mózgu; lecz czy wyczerpiemy w ten sposób istotę myślenia?“ (Eng., str. 18). A więc — wszystko podlega prawom mechaniki, lecz nietylko im samym.

Nauka o niemożliwości rozkładu bez reszty wyższych postaci bytu na prawa jego niższych szczebli w filozofji jest szeroko rozpowszechniona. Wchodzi ona w skład pozytywistycznej koncepcji Comte'a; w filozofji niemieckiej pozostaje ona w związku z doktrynami o tem, że wyższe piętra bytu opierają się na niższych, lecz są swoiste jakościowo; w angielskiej filozofji nabiera ona charakteru nauki o *emergent evolution*, t. zn. o ewolucji twórczej, wytwarzającej nowe szczeble bytu, których jakości nie są samymi tylko wynikami jakości wchodzących w ich skład pierwiastków¹⁴).

Kto twierdzi, że „materja — to wszystko co istnieje“, a zarazem uznaje twórczą ewolucję — ten musi nadać materji zdolność twórczej aktywności. „Materja“, oświadcza Jegorszyn, „jest nadzwyczaj bogata i posiada wiele postaci. Swych własności nie zawdzięcza ona duchowi, lecz sama posiada zdolność ich tworzenia, w tej liczbie i samego ducha“. Czemże jest ta tajemnicza materja, tak obfitująca w zdolności i możliwości, lecz w ramach dialektycznego materjalizmu pozostawiona bez żadnego określenia ontologicznego? Postawmy kwestję, istotną dla ontologii (dla nauki o elementach i aspektach bytu): czy materja jest substancją, czy też tylko kompleksem zdarzeń, t. j. procesów czasowych i czasowo-przestrzennych? Jeżeli jest ona substancją — stanowi podkład i twórcze źródło zdarzeń, czyli taką zasadę, która nie jest samem tylko zdarzeniem.

Materjaliści-rewolucjoniści, studjujący filozofję nie z miłości dla prawdy, lecz dla celu ściśle praktycznego, mianowicie celem wykucia oręża, niszczącego dawniejsze życie społeczne, nie zajmują się temi pytaniami, wymagającemi pogłębionej analizy. A jednak u Lenina, w związku z jego zarzutami przeciwko empirjo - krytycyzmowi i machizmowi, które negują istnienie substancjalnego podłoża bytu, można znaleźć dane dla odpowiedzi na interesującą nas kwestję. Dyskutując z Avenariussem i Machem, którzy usuwają pojęcie substancji, Lenin twierdzi, iż doszli oni do „wrażenia bez materji, myśli bez mózgu“ (138), oraz uważa za bezsensowną doktrynę, w której „zamiast myśli, przedstawień, wrażeń żywego człowieka występuje martwa abstrakcja: niczyja myśl, niczyje wrażenie, niczyje przedstawienie“ (225). Lecz może Lenin myśli, że materja, która doznaje wrażeń, sama jest tylko całokształtem ruchów? Bynajmniej; w rozdziale p. t. *Czy ruch daje się pomyśleć bez materji* ostro występuje on przeciw wszelkim próbom ujmowania

¹⁴) L'oyd Morgan: *Emergent Evolution*, S. Alexander: *Space, Time and Deity*, i inne.

ruchu bez materji (223). Materjalista-dialektyk nietylko uważa ruch za stałą własność materji, lecz także neguje zbyt uproszczony pogląd na ruch, t. j. ten pogląd, zgodnie z którym ruch jest ruchem niczym: „porusza się” i koniec na tem! Dlatego też Deborin po. tępuje słusznie, że wprowadza termin „substancja” („W materjalistycznym systemie logiki rolę centralnego pojęcia winna odgrywać materja jako substancja”), i ze współczuciem interpretuje spinozowskie pojęcie substancji jako nauki o „sile twórczej” (XC, XCI). Lenin osobiście nie posługuje się terminem „substancja”: oświadcza on, że tego wyrazu p.p. profesorowie chętnie używają ze względów „prestizowych”, zamiast dokładniejszego i jaśniejszego terminu „materja” (138); z przytoczonych jednak cytát widać, że jego rzeczowy umysł rozróżnia dwa odmienne aspekty w strukturze bytu: zdarzenia — z jednej strony, oraz ich twórcze źródło — z drugiej. Stąd wynika, że musiał zrozumieć, iż termin substancja jest potrzebny nietylko dla „prestizu”, lecz również dla jasności i dokładności.

Przystąpmy obecnie do kwestji umiejscowienia w przyrodzie świadomości i procesu psychicznego, nader istotnej zarówno dla obrońców jak i dla antagonistów materjalizmu. Niestety, materjaliści-dialektycy, zabierając głos w tej kwestji, nie rozróżniają tak różnych przedmiotów badania, jak świadomość, przebieg psychiczny i myślenie. Do tego szeregu zaliczają i wrażenie, jako formę niższą. Warto powiedzieć kilka słów o różnicy między temi przedmiotami, aby tem łatwiej zorientować się w doktrynach materjalizmu dialektycznego.

Zajmijmy się najpierw analizą ludzkiej świadomości. Świadomość zawsze jest dwustronna: ktoś świadomy oraz coś uświadamianego; nazwijmy te dwie strony terminami „podmiot świadomości” oraz „przedmiot świadomości”. W wypadku ludzkiej świadomości, podmiotem jej jest „ja” człowieka. Istota świadomości polega na tem, że coś uświadamianego (odczuwana radość, słuchany dźwięk, widziany kolor i t. p.) w pewien intymny sposób istnieje nietylko „w sobie”, lecz i dla podmiotu. W filozofji i psychologii współczesnej szeroko rozpowszechniła się nauka o tem, że dla świadomości czegoś oprócz podmiotu i przedmiotu niezbędny jest osobliwy, psychiczny akt uświadamiania, skierowany przez podmiot ku przedmiotowi (radość, dźwięk, barwa). Takie akty psychiczne nazywają się intencjonalnemi: są one skierowane ku przedmiotowi i bez przedmiotu są pozbawione sensu; nie zmieniają one przedmiotu, lecz wprowadzają przedmiot w sferę świadomości i wiedzy podmiotu. Świadomość przedmiotu nie stanowi jeszcze wiedzy o nim; członek drużyny footballowej, który przed chwilą osiągnął zwycięstwo, może gwałtownie się cieszyć, wcale nie obserwując w sobie tego uczucia, będąc zajęty żywemi opowiadaniem o szczegółach zawodów. Jeżeli zaś jest on psychologiem, może skupić uwagę na swoim uczuciu radości i rozpoznać je, naprz. jako zachwyt z odcieniem triumfu nad zwyciężonym przeciwnikiem; ma on wówczas nietylko przeżycie uczucia, lecz i przedstawienie tego uczucia a nawet sąd o niem; aby osiągnąć tę wiedzę, koniecznie trzeba poza aktem uświadamienia dokonać szeregu dodatkowych aktów intencjonalnych, naprz. aktu porównania danego uczucia z innemi stanami świadomości, aktu rozróżnienia i t. p.

Zgodnie z teorią wiedzy, którą nazywam intuicjonizmem, rozpoznanie przeze mnie mego uczucia w postaci przedstawienia o nim lub nawet sądu, nie jest zastąpieniem uczucia jego obrazem, kopją, symbolem i t. p.: moja wiedza o własnym uczuciu radości jest bezpośredniem posiadaniem na widoku tego autentycznego uczucia „w oryginale” (intuicja, skierowana ku temu uczuciu), ale tak, że dzięki konfrontacji jego z innymi stanami i zbadaniu jego związków z temi ostatnimi, mogę sobie i innym zdać sprawę z niego, rozróżnić w nim różne jego strony (analiza myślowa) i wskazać jej związki ze światem.

Stany psychiczne można uświadamiać sobie nie kierując ku nim intencjonalnych aktów porównania, rozróżnienia i t. p.; pozostają one wówczas świadome, lecz nie rozpoznane. Niedosć na tem: możliwe jest jeszcze większe uproszczenie życia psychicznego: niekiedy stan psychiczny urzeczywistnia się bez skierowanego ku niemu aktu świadomości — wtedy pozostaje on stanem podświadomym lub nieświadomym. Śpiewaczka, słuchając swej rywalki, może robić krytyczne uwagi o jej śpiewie pod wpływem nieświadomego uczucia zazdrości, które jej współbiesiadnik dostrzega z wyrazu jej twarzy oraz z intonacji głosu. Nie wolno powiedzieć, że nieświadome zjawiska psychiczne w samej rzeczy nie są stanami psychicznymi, lecz procesem materialnym w systemie ośrodków nerwowych. Nawet aktu tak prostego, jak nieświadome dążenie, w trakcie żywej pogawędki przy stole, do wzięcia leżącego przede mną kawałka chleba i zjedzenia go — nie można rozpatrywać jako przebiegu ściśle materialnego, pozbawionego wewnętrznych stanów psychicznych i składającego się jedynie z odśrodkowych prądów systemu nerwowego; wykazaliśmy wyżej, że nawet w środowisku nieorganicznym każde przyciąganie i odpychanie może zrealizować się nie inaczej, jak tylko na gruncie psychoidalnego dążenia do przyciągania lub odpychania w określonym kierunku. Uświadamiając i rozpoznając taki stan wewnętrzny jak *dążeń* i e, oraz taki proces zewnętrzny jak zmiana miejsca cząstek materji w przestrzeni, widzimy z bezwzględną pewnością, iż są to zdarzenia zupełnie różne, aczkolwiek ściśle ze sobą związane.

A więc *świadość* i *psychiczność* nie są to pojęcia identyczne: istnieją nieświadome (lub też podświadome) zjawiska psychiczne. Zaraz przekonamy się, że różnica między temi pojęciami jest jeszcze głębsza. Zgodnie z doktryną intuicjonistyczną, podmiot poznający zdolny jest do bezpośredniego kierowania własnych aktów świadomości i poznawania nie tylko ku własnym stanom psychicznym, lecz również ku własnym objawom cielesnym, oraz ku autentycznemu światu zewnętrznemu: spadek kamienia, żałośnie płaczące dziecko, które skaleczyło się w palec — mogę sobie uświadomić, poznać bezpośrednio i w tej postaci, w której te rzeczy istnieją, niezależnie od moich aktów skierowanej ku nim uwagi i t. p. „Ja” człowieka tak ściśle jest zrośnięte ze światem, że ma wgląd w sferę obcego bytu¹⁵⁾. Według tej doktryny, gdy obserwuję spadek kamienia, ten przebieg materialny staje się immanentny względem mej świadomości, lecz pozostaje transcendentny w stosunku do mnie jako podmiotu wiedzy, nie przeistacza się w mój proces psychiczny. Kiedy jestem świadom tego przedmiotu i wiem o nim — do sfery psychicznej należą moje akty uwagi, rozróżniania i t. p., natomiast to co rozróżniam i poznaję (kształt kamienia i jego barwa, jego przesunięcie się i t. p.) stanowi proces materialny. W składzie

¹⁵⁾ Odpowiedź na pytania, powstające w związku z teorią intuicji, jako zdolności podmiotu do bezpośredniego oglądania oryginalnych przedmiotów świata zewnętrznego, oraz o roli narządów zmysłowych — patrz w moich książkach i artykułach, szczególnie w artykule *Intuicjonizm a nauka o transsubiektywności jakości zmysłowych*, w *Logice, Uzasadnieniu intuicjonizmu* i innych.

świadomości i wiedzy trzeba rozróżniać stronę subiektywną i obiektywną: tylko strona subiektywna, moje akty intencjonalne bezwzględnie należą do procesu psychicznego, natomiast stronę obiektywną może reprezentować dowolny byt ze składu świata: przebieg materialny, obce zjawisko psychiczne, mój własny stan psychiczny, zjawisko socjalne, przedmiot idealny (nieczasowy i nieprzestrzenny) i t. p. Z tego wynika, że rzeczy świadome i psychiczne nie tworzą pojęcia identycznego; poza tem — w sferze świadomości mogą występować przedmioty niepsychiczne.

Myślenie jest najważniejszą stroną procesu poznawczego, jest intencjonalnym aktem psychicznym, skierowanym ku przedmiotowi pomyślanemu (niezmysłowemu), mianowicie ku idealnej stronie przedmiotów (stosunki i inne obiekty nieczasowe i nieprzestrzenne). Przedmioty pomyślane są obecne w świadomości poznawczej niejako w oryginale, lecz nie tworzą, jak powiedziano, ani procesu psychicznego ani materialnego: są one idealne. Czem jest naprz. wrażenie czerwonej barwy, tonu muzycznego laś, ciepła i t. p.? Oczywiście, barwy, dźwięki i t. p. są czemś zasadniczo różnem od psychicznych stanów podmiotu, od jego uczuć, chęci i dążeń. Pierwsze są jakościami fizycznymi, zespolonemi z mechanicznymi procesami materji, jak np. głos z falami dźwiękowemi, lub też wogóle drganiami cząstek materialnych. Tylko akty uświadamiania, akty — że tak powiem — doznawania zmysłowego są procesami psychicznymi.

Po tych dłuższych rozważaniach możemy próbować zorjentować się w mglistych doktrynach dialektycznego materializmu o życiu psychicznem. „Wrażenie, myśl, świadomość“, mówi Lenin, „jest to najwyższy wytwór w szczególny sposób zbudowanej materji. Takie są poglądy materializmu wogóle i Marxa — Engelsa w szczególności“ (39). Wrażenie Lenin uważa za myśl, świadomość, stan psychiczny (patrz np. str. 33, gdzie wrażenie nazywa wprost myślą). Twierdzi on, że „wrażenia są to obrazy świata zewnętrznego“ (81), mianowicie jego kopje, *Abbild* lub *Spiegelbild* według Engelsa (77). „Inaczej aniżeli poprzez wrażenia niczego nie możemy dowiedzieć się o żadnych formach substancji, o żadnych postaciach ruchu; wrażenia wywołuje działanie poruszającej się materji na nasze organy zmysłowe“. „Wrażenie czerwonej barwy odpowiada drganiom eteru, odbywającym się w przybliżeniu z szybkością 450 tryljonów na sekundę. Wrażenia, barwy niebieskiej są odbiciem drgań eteru z szybkością około 620 tryljonów na sek. Falowanie eteru istnieje niezależnie od naszych wrażeń światła. Nasze wrażenia wzrokowe zależą od działania drgań eteru na ludzki narząd wzroku. Nasze wrażenia odbijają realność obiektywną, t. zn. to, co istnieje niezależnie od człowieka i ludzkich wrażeń“ (254).

Zdawałoby się, iż stąd wynika, że Lenin opiera się na nauce mechanistów, zgodnie z którą wrażenia i psychiczne stany wogóle są przyczynowo uwarunkowane przez mechaniczne procesy ruchu, odbywające się w narządach zmysłów i tkance mózgowej (patrz np. str. 38c). Owa nauka zawsze uchodziła za najbardziej wątpliwy punkt materializmu. Dialektycy-materialiści rozumieją to i odrzucają ją, ale jasnego i określonego postawienia oma-

wianej kwestji naukowej u nich nie znajdziemy. Lenin twierdzi, że prawdziwe poglądy materialistów nie polegają na tem, „aby wyprowadzać wrażenie z ruchu materji albo sprowadzać do tego ruchu, lecz na tem, że wrażenie pojmuje się jako jedną z własności poruszającej się materji. Engels w tem zagadnieniu stał na stanowisku Diderota. Od wulgarnych materialistów — Fochta, Büchnera i Molechotte'a — Engels odseparował się właśnie dlatego, że ulegali oni sugestji poglądu, zgodnie z którym „mózg wydziela myśl tak samo, jak wątroba wydziela żółć“ (32).

Pragnąc być konsekwentnym, wślad za powyższem trzeba uznać, że wraz z ruchem również i wrażenie (lub inny stan analogiczny, aczkolwiek jeszcze prostszy w swej treści) jest pierwotną własnością materji. Ten właśnie pomysł znajdujemy u Lenina: „Materializm w całkowitej zgodzie z przyrodoznawstwem obiera materję jako coś danego pierwotnie, uważając za objaw wtórny świadomość, myślenie, wrażenie, gdyż w postaci jasnej i wyraźnej wrażenie łączy się dopiero z wyższymi formami materji (materja organiczna), oraz u podstawy samego gmachu materji można doszukiwać się dopiero istnienia zdolności, podobnej do wrażenia“. Takie jest np. przypuszczenie „Ernsta Haeckla, angielskiego biologa Lloyd Morgana oraz innych, nie wspominając już o hipotezie Diderota, wyżej przez nas przytoczonej“ (30). Rzecz jasna — Lenin ma tu na widoku właśnie takie przejawy, które nazwaliśmy procesami psychoidalnemi. Powołujący się na Lenina B. Pozner również mówi, że „zdolność odbierania wrażeń“ jest zdolnością materji o wysokiej organizacji, ale materja niezorganizowana posiada również stany wewnętrzne (46). Zwolennicy metafizycznego i mechanistycznego materializmu nie dostrzegają, powiada on, że świadomość, t. j. „zdolność odzwierciedlania nie może być sprowadzona do zewnętrznej zmiany miejsca cząstek materialnych“; „pozostaje ona w związku ze stanem wewnętrznym poruszającej się materji“ (64). A jednak występuje on zarazem przeciwko Plechanowowi jako zwolennikowi hylozoistycznej teorii o tem, że cała materja jest uduchowiona; nie stara się przytem wcale zastanowić, czem się różni od nauki Plechanowa twierdzenie Lenina, że nawet materja o prymitywnej stosunkowo budowie posiada stany „wewnętrzne“, analogiczne do przeżyć zmysłowych.

(Dokończenie nastąpi)

(Przełożył A. SURKOW)

K A M E N A L W O W S K A

GRAFIKA

*graficzny gotyk mroku rośnie wyżej i szerzej
samotni nocni święci szepcą czarne pacierze*

*księżyc — srebrny krucyfiks za chwilę z bólu uśnie
po pustych płytach płynie nieśmiały biały uśmiech*

*cienie tęsknią ku niebu drabiną jakóbową
ciemny cichy przechodniu pomogę w drodze — pozwól*

*niczego mi nie tłumacz — niczego ci nie powiem
zamkniemy się milczeniem w sztychu: ciemność i człowiek*

NOC

*po czarnych schodach z marmuru
księżniczka idzie do góry*

*szeroką srebrzystą szatą
szerokie schody zamiata*

*szeleści blaskiem księżyca
księżniczka srebrnolica*

*po schodów czarnej nocy
ramion ptakami trzepoce*

*a kiedy dojdzie do szczytu
znika za drzwiami świtu*

Henryk Balk.

POLNE EWANGELJE

I

Niewinne zbożne kwiaty
piękniejsze od szat królewskich
zgasisz dla mnie na zawsze
gdy się Ciebie wyrzeknę —

Nawet słońce jak iskry
w kałużach gdzieś potoną
jeśli obrócę oczy
w przeciwną Tobie stronę

A gdy ujrzysz zwątpienie
co sercem mojem szarpie
niebo zwinie się nagle
niiby rozdarty papier —

II

Dla mnie stworzyłeś wiosnę
i biały żar księżycy
i pustkę długich nocy
w starych ciemnych ulicach

dla mnie otwierasz codzień
okna Cichego Domu
i prosisz abym spojrzał
i nie mówił nikomu —

abym nigdy nie zdradził
czem dla mnie jesteś Panie
że znam Cię od tak dawna
i pałac Twój i mieszkanie

a kiedy obiecałeś
świat w kilku wznieciach słowach
pamiętam jeszcze dobrze
dźwięk i melodię tej mowy —

III

Modlitwa którą Tobie
posyłam gdzieś w przestworza

*zmienia się w miecz ognisty
zawieszony nad morzem*

*bez niej Tybyś przeminął
i zwietrzył w szare zielsko
choćbyś wywiodłeś z błota
całe nasze anielstwo —*

*Wróciłbyś do chaosu
na drugą może wieczność
gdybym nie kochał Ciebie
miłością tak serdeczną.*

Jan Fedyk.

ZDRADA

*Ani jednogom wiersza nie napisał w szkole —
oparłem się zwyczajem kuszącemu słowu — —;
choć wiem, jak pachną w lipcu noce księżycowe,
gdy leży się na sianie pod stropem w stodole —
choć umiem myśleć o niewidzianych miastach —
a nocą
budzą mnie echa dalekich kolejowych dworców —
choć włóczę się samotny już od lat szesnastu
i wiem co znaczy być biednym i obcym — —
nie napisałem dotąd ...ni jednej ballady,
dumny że wszystko wokół
ściśle wypowiadam
w smagłej kresce ołówka na papierze z bloku!
więc czemu dzisiaj błądząc po przedmieściu
gdy ciepły dzień wiosenny omdlewa w gałęziach —
czemu dzisiaj szukam tego słowa które nazwałoby wiosnę
i zdjęłoby mi jej ciężar z przygniecionej piersi
słowa,
któreby wiosnę jak strzała przeszło
przez wnętrze niespokojne runęło na wylot —
aż podda się wiosna moim zachłannym słowom
aż uśmiechnie się w tych słowach
jak jeniec w niewoli
zanim zastygnie... w moim pierwszym wierszu.*

POWITANIE POETY

*Uwiodły mnie dziś słowa żywą, dźwięczną treścią
 i oto z nich układam pierwsze moje wiersze —
 tyle płynnego żaru pragnę w słowach zmieścić,
 ile młodemu płonie w niespokojnej piersi.*

*Zdyszany i chciwy cały dzień uganiam,
 aż się na barłóg zawlokę z powrotem —
 wtedy mdleję nad wierszem w trudzie nazywania
 i mdleję z szczęścia, kiedy wiersz jest gotów.*

*A gdy z wierszem, jeszcze ciepłym, zbiegam znów do miasta,
 dla mnie dymi wieczór w uliczkach skłębionych
 i pachnie w mroku ciałem przecudnej niewiasty
 śródmieście dzwoniące gwiazdami neonów.*

W. J. E. Korabiewski.

DO GÓRY NOGAMI

*Rzecz się dzieje
 na stropie namalowanym
 ziemią...
 w siatkę bezdroży,
 do góry nogami
 na podwójnym karburatorze
 nie raz.*

*Swawolą
 zamkniętą w kole śmigła,
 na czarnych kroplach
 Gargoylu...
 gdzie w strudze stalowych powikłań
 huczy czas.*

*Łańcuchem
 ślizgów, zawisań, w kołysce
 płynącej falistym ruchem,
 smażą się czyścić
 mas.
 Gdzie drgają szkielety kruche*

obite ścianą metalu,
a w gruzłach motoru
wybuchy pali
gaz...

Tam w strachu
o brzegi linek
zagina pazur rozmachu
nas...

.
Czasem,
przed wieczorem,
wychodzą nadzy na łąkę
pomazaną rosą...

Cicho wsuwa ich w niebo
księżyc, srebrnym otworem
go góry nogami,
boso,
bez karburatorów
w blask...

Mjr.-pil. Pamule

Mieczysław Lisiewicz.

NA ŚMIERĆ BRONISŁAWA L. MICHAŁSKIEGO

piszę do ciebie ten list: krótki i dobitny
duszo smutnego poety niezatopiona w wiśle
donoszę: czarnolas gwoźdźmi nieba do ziemi przybity
jeszcze śpiewa i szumi jak dawniej powiśle

zgon niebtylkawicowy gdyś w nurtach nieruchomo stęzał
zbyt krótkie życie gdy w niem trzeba tyle wiosen zmieścić
i to właśnie rym lipiec zaczął pękać owocnie w wieżach
rozdarłeś ciałem wodne lato w rzece na jednym z przedmieść

za wczoraj niedośpiewane ściga cię dzisiaj mój ból
wędrując w gwiazdach przyjmij go i utul
gdy pomyśle: czy inna to droga i czym w wietrze lecie wyrośniesz
wdół spadają samotne pytania — wdół jak żywica po sośnie

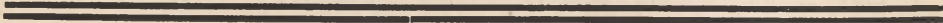
*spadają a jan czarodziej sto miodów z nich warzy w lipach
dźwięczą a lato srebrne roznosi się w dźwięcznych skrzypach
do ciebie idą — a ty: czy odeprzesz je — czy odrzucisz?
— więc się lato dojrzałe ma tam w górze zabłąkać i wrócić?*

*powiedziałeś że ci czerwono że tylko czern włosów masz czarną
i z tego umarłeś w rzece — wiem: to wszystko było warszawą
złą — zagniewaną — wysoką — nieczułą na twoje pieśni
a tyś niebaczny dom — brysia i wiśnie w nią ezule weśnił...*

*dalej drga rojowisko — a ty wierz: nie kochałeś niczego napróżno
choć minęły się nasze drogi — choć się skłębiają i różnią
i wyrosłeś wierszem wyrosłeś najbliższą ze wszystkich ci mów
z słów bez dźwięku bez znaczeń — tak poprostu: ze słów:*

*idzie koniec samotny — zbyt wielki by bolał
za krótki by spamiętać choć jedno pytanie
— czy dalej jeszcze lato buszuje w kąkolach
czy kosy kiedyś zmilkną a łąka przestanie?*

Stanisław Rogowski.



ANDRÉ GIDE

PERSEFONA

MELODRAMAT

Pani Idzie Rubinstein, której zapal
zdołał wskrzesić pomysł, od dwudzie-
stu zgórą lat już leżący.

OBRAZ PIERWSZY

EUMOLPES (na przodzie sceny, przed podniesieniem kurtyny)

Pani tysiącimienna, potężna Demeter,
Co plonami łan zaścielasz wszędy
I zbożem darząc — darzysz cudem!
Odprawiamy tu twoje obrzędy
Przed tym całym zebrany ludem.

Kurtyna się podnosi i odsłania łąkę na wybrzeżu morskiem. Na prawo trawiaste, ukwiecone zbocze, a na niem — olbrzymi kwitnący narcyz; na lewo — skalisty wąwóz (prowadzący do Piekieł), w który Persefona ośmieli się wkroczyć.

EUMOLPES

Nimfom swe powierzasz dziecię —
Persefonę ukochaną,
Która wiosnę czyni na świecie
I kwiatami polnemi się bawi.
O tem, jak ci ją porwano,
Już nam stary Homer prawił.

Demeter, poprzeczana przez Merkurego, który ją odprowadza — żegna się z Persefoną
i poleca ją opiece Ninf.

CHÓR NIMF

Pozostań z nami, Księżniczko Persefono.
 Matka twa, co nad latem władztwo ma udzielne,
 Nam cię zdała w opiekę — między ptactwo i kwietne kobierce,
 I pocałunki strumieni, i muśnięcia pieszczotliwej dali;
 Patrz, jak słońce śmieje się z fali!
 Zostań z nami — dni będą weselne,
 Pierwszy ranek nad światem się pali.

PERSEFONA (jeszcze siedząca i jakgdyby napoty uspiona)

Wietrzyk przyfrunął z dali
 I gładzi kwietne kobierce.

Chór Nymf skupia się dokoła Persefony, która podnosi się zwolna.

CHÓR NIMF

Chodź! Poigraj z nami, Persefono...
 Wietrzyk gładzi kwietne kobierce,
 Pierwszy ranek nad światem się pali;
 W nas, we wszystkim radosne drga serce,
 Wszędzie śmiech — na ziemi, na fali.
 Chodź! Poigraj z nami, Persefono:
 Wietrzyk gładzi kwietne kobierce.

PERSEFONA (mówi)

Pierwszy ranku, którym świat się pali!
 Śpiewu twego słucham całym sercem.

CHÓR NIMF

Ranek upojnie dyszy,
 Lśni pierwszy blask różowy;
 Po płatkach w tkliwej ciszy
 Słodycz strużkami ścieka.
 Nie możesz dłużej zwlekać —
 Słuchaj czulej namowy:
 Przymknij powoli oczy,
 Niech cię przyszłość otoczy!

PERSEFONA (mówi)

Dzień pokryjomu, nieśmiało
 Tchem ciepłym łaskocze ciało;
 Dusza, choć taka płocha,
 Ulega — i musi już kochać.

CHÓR NIMF

Witulka, orliczek,
 Hiacynty, szafrany,
 Miłek — kropla krwi z rany
 I reszta wiosennych kwiatów...

EUMOLPES

Ze wszystkich wiosennych kwiatów
 Narcyz ma najpiękniejsze oblicze.
 A kto nad nim przystanie
 I płatków dotknie dłonią,
 Lub odetchnie ich wonią —
 Ten piekielne ujrzy otchłanie.

Chór, w tańcu, wykonywa takie ewolucje, by przeszkodzić zbliżeniu się Persefony do narcyza. Persefona, przerywając taneczne koło Nimf, zbliżyła się do niego i schyliła się nad jego korona.

CHÓR NIMF

Nie rusz się ni krokiem,
 Bo to niebezpieczne:
 W narcyzowej wiośnie
 Zdrady drzemią wieczne.
 Strzeż się, strzeż — szalona,
 Gdy to, za czem wzrokiem
 Gonisz zbyt miłośnię,
 Ująć chcesz w ramiona.
 Usłuchaj przestróg i rady —
 W spokoju zostaw kwiat błady!

EUMOLPES

Kto choć chwilkę nad nim stanie,
 Jego płatków dotknie dłonią,
 Albo odetchnie ich wonią —
 Ten piekielne zobaczy otchłanie.

PERSEFONA (pochylona nad kwiatem)

Zieleń łąk... Asfodele na łąkach kwitnące...
 Cienie wolno wśród łąk się błakają...
 Chodzą. Idą żałośnie poprzez bezmierne obszary
 Cienie wiecznie błędzące:
 To tłum tych, co nadziei nie znają —
 Niespokojny, posępny, szary.

Chór otoczył w skupieniu Persefonę, wszyscy pochyłili się ku niej trwożnie. Jakiś niepokój wślizgnął się do orkiestry; aż do tej chwili muzyka wyrażała niezmaconą radość. Chór próbuje, wbrew odczuciu nowego niepokoju, powrócić do radosnego nastroju i skłonić również do tego Persefonę.

CHÓR NIMF

Uśłuchaj przestróg i rady —
 W spokoju zostaw kwiat blady!
 Nie rusz się ni krokiem!
 Narcyzowej wiośnie
 Nie ufaj — szalona,
 Gdy to, za czem wzrokiem
 Gonisz zbyt miłośnię,
 Ująć chcesz w ramiona.
 Chodź, poigraj z nami! Persefono...

Głośny lament zakolysał orkiestrą. Persefona zerwała kwiat. Taniec jej odtwarza niepokój i rozpacz. Schodzi wolno z trawiastego pagórka, na którym kwitł narcyz, i przybliża się do skał na lewo.

Nimfy chcą ją powstrzymać, lecz ona nieustraszenie postępuje wciąż naprzód — jak obłąkana, — z oczyma, utkwionemi w trzymany w ręce kwiat narcyza. Cała rola Persefony jest m o w i o n a.

EUMOLPES

Tłum bezimienny cię przyzywa —
 Gromada nędzna, boleściwa
 Tych, co stracili już nadzieję,
 Że wiosna do nich się zaśmieje...
 Ciebie gromada ta przyzywa.
 Już zaręczonaś łzą litości
 Z monarchą tych piekielnych włości:
 Zejdź, nieś pociechę między cienie,
 Twa młodość — lek na ich strapienie;
 Twe lica, czyste i słoneczne,
 Rozjaśnią zim ich mroki wieczne.
 Bierz we władanie tron ciemności!

PERSEFONA

O, Nimfy, siostry moje — o, nadobne panie,
 Czyż mogłabym tu odtąd, między wami, szczerze
 W beztroskiej pławić się ucieście,
 Skoro już zobaczyłam, skoro wiem i wierzę,
 Że cienie tęsknią, cierpią, żywe przez czekanie?

Jużem gotowa, ludu, na twoje wezwanie,
Do ciebie śpieszę...

OBRAZ DRUGI

Na scenie ciemno. Muzyka ciągle gra. Kurtyna.

EUMOLPES

Jako już nam Homer prawił,
Pluton — król zimy, pan piekielny,
Demeter córki pozbawił,
A ziemię — wiosny dni weselnych.

Kurtyna znów się podnosi. Scena przedstawia Pola Elizejskie. Na prawo — podwoje pałacu Plutona. Persefona spoczywa na wspaniałym łożu, pod baldachimem, wspartym na kolumnach. W pobliżu niej, jeszcze we śnie pogrążonej — Chór Cieni. Na lewo — brzeg rzeki, nad której tonią zwisają konary ogromnego drzewa. Na brzegu Chór Danaid, bez przerwy sięgających do rzeki po wodę i przechylających swe naczynia jedne ku drugim.

W głębi sceny — skłębione chmury.

CHÓR

Tu, na łożu, spoczywa...
Podróż odbyła mozolną,
Więc nam teraz nie wolno
Snu jej przerywać.
Napół-śpiąca jeszcze i nieczuła.
Do piersi przyciska dłońie
I kwiat, przez którego wonie
W głębi serca litość poczuła.

PERSEFONA (leżąc)

Gdzie jestem? Z przebudzenia dziwny sen wynika...
To już wieczór nastaje? Czy też rano wczesne?

CHÓR

Tutaj — wszystko bezkresne,
Wszystko wiecznie się miota;
Tutaj — pogoń wciąż dzika
Za tem, co nieuchwytnie, co stale umyka...

EUMOLPES

Tu śmierć czasu odmierza wieczystość żywota.

PERSEFONA

A ja tu skąd?...

EUMOLPES

Królujesz Cieniom — swojej świcie.

PERSEFONA

I cóż wy, Cienie żałosne, czynicie?

CHÓR DANAID

Klęcząc na brzegu,
 Liczymy w biegu
 Przepływające wieki;
 Chylimy skronie,
 Patrzymy w tonie
 Płytkiej Letejskiej rzeki.

Cisza wkrąg lita;
 My wodę w sita
 Czerpiemy bez wytchnienia...
 Boże dopusty:
 Czerpak wciąż pusty,
 Fala się w falę zmienia.

PERSEFONA

Przerwijcie, zjawy, trudy swe bolesne.

CHÓR (powtarza)

O, nie — tu wszystko bezkresne,
 Wszystko ruch ciągły trawi;
 Tu gonitwa wciąż dzika
 Za tem, co nieuchwytne, co stale umyka...

PERSEFONA

Jakiem szczęściem was mogę zbawić?

CHÓR DANAID

Nam niepotrzebny obrońca:
 Myślisz, że my nieszczęśliwe?
 Nie w jarzmie, nie w tęsknocie, bezgniewnie i bezmiłośnie
 Spełniamy wyrok losu, tak powtarzając bez końca
 Życia gesty nieżywe.

CHÓR CIENI

Nieśmiertelna Królowo, mów nam o wiośnie.

PERSEFONA

Piękna, matko Demeter, była twoja szata,
 Gdy śmiech naszej miłości z kłosami się splatał
 Złotemi, a woń kwiatów spływała do mleka...
 Jakżeś dziś od swej córki zbłąkanej daleka!
 Dziś ja podziwiam tutaj dzień, co nie ma granic,
 Kwitnięcie bladych kwiatów — gdzie wzrok tylko zmierzy,
 Białe róże nad Letą, szarość jej wybrzeży
 I cienie, co przyćmiony blask lata w otchłani
 Gonią w mrokach wieczornych, nim go wchłona fale, —
 Lecz blasku nikt w podziemiu zatrzymać nie zdoła.

CHÓR

O, boska Persefono, mów jeszcze, mów dalej.

Orkiestra milknie.

PERSEFONA (zatrzymuje się, z osłupieniem)

Kto to mnie woła?

EUMOLPES

Pluton!

Masz tu panować, Persefono,

Nie zaś litości słuchać głosu.

Nie myśl, że zda się tu na coś twa pomoc —

Nikt, choćby Bogiem był, nie umknie wyrokowi Losu

Tyś z przeznaczenia królowa. Więc bądź nią.

Musisz przepomnieć miłosierdzia:

Wypij kielich letejskiej wody,

Którą ci Piekła podają, a z nią razem — wszystkie skarby ziemi.

Cienie w czarnych ubiorach (szaty Danaid są koloru zielonawo-popielatego) wychodzą z pałacu Plutona, dźwigając klejnoty i różne ozdoby; jedna z postaci, trzymająca pułhar, podaje go ostatniej z szeregu Danaid, która napełnia go wodą z Lety. Następnie — postać owa zbliża się do Persefony.

PERSEFONA (wzięła klejnoty, a spojrzawszy na nie ponuro — odpycha je od siebie)

Nie! Bogactwa, których nienawidzę,

Precz zabierzcie, do królewskich zamków!

Jeden kwiat z zielonych obszarów,

Kwiat o najkruchszej łodydze,

Stokroć miłszy mi od tych darów.

EUMOLPES

Merkury, sam tu!

Bywajcie tu, godziny dnia i nocy!

Chmury, stanowiące tło w głębi sceny, podnoszą się i nawpół rozstępują, dając przejście Merkuremu, który przybywa w podskokach, w towarzystwie orszaku Godzin (Merkury — rola niema). Każda z Godzin — których szaty są stopniowaniem barw: brzasku, świtu, poranku, południa i t. d. — niesie podarunek dla Persefony.

EUMOLPES

Panna miesza się, wzdycha,
 Gniewnie odpycha
 Cały Piekieł świat blady.
 Lecz Merkury się łudzi,
 Że siłą dobrych chęci
 Pamięć matki w niej zbudzi,
 By nie czuła w tem zdrady,
 Gdy on jabłkiem ją znęci —
 Jabłkiem, co gnie swym ciężarem
 Gałęzie stare
 I mnoży, dwojąc się w falach,
 Męki Tantala.
 Zerwał owoc dojrzały,
 Soki nabrzmiały:
 Słońca blask wewnątrz gorze.
 Podał je. Persefona,
 Rada i zadziwiona,
 Że tu, w nocnym przestworze,
 Znalazły się odbicia
 Ziemskiego życia,
 Woń, słodycz, barwa miła —
 Już swych trwóg nie pamięta;
 Już, uśmiechnięta,
 Choć przed chwilą jeszcze tęskniła,
 Bierze dar smakowity
 Z rąk boga - wysłannika,
 Skosztowała... Merkury znika;
 Pluton wśród swojej świty
 Parska śmiechem w noc czarną.

Muzyka — ironiczna i skrzekliwa w momencie, gdy Merkury (zgodnie z tem, co mówi w śpiewie Eumolpes) podskakuje i zrywa owoc — wpada w rytm przyśpieszony. Merkury

podaje jabłko Persefonie, która już sama chciała po nie sięgnąć. Persefona przyjmuje jabłko granatowca i wpija się w nie zębami. Podczas ostatnich słów Eumolpesa Merkury, wraz z orszakiem Godzin, wycofuje się. Została tylko Persefona i Chór Cieni.

PERSEFONA

Gdzie jestem?... Cóżem zrobiła?... Jakież to męt mnie ogarnął?...
Wesprzyjcie mnie, o siostry! Wargami głodnymi
Znów odczułam w tem jabłku smak straconej ziemi.

CHÓR

Gdyby twe oczy chciały
Patrzeć w kwiat biały,
Może znów od umarłych
Powróciłabyś na ziemię, do matki —
Raz już odkrył narcyz urodziwy
Sekret straszliwy,
Gdy się Piekła przed tobą rozwarły.

PERSEFONA

Stańcie przy mnie wkoło, jak strażę,
Wierne cienie. Ten polny kwiat miły —
To mej wiosny ziemskiej ostatki.
Gdyby oczy się nad nim schyliły
I spytały — jakie dziwy ukaże?
Czy zobaczę znów łąki rodzime?

EUMOLPES

Zobaczysz — zimę.

Persefona (na przodzie sceny), otoczona Chórem Cieni, wyjmując narcyz zza przepaski, gdzie go poprzednio zatknęła, i wpatruje się długo w kielich kwiatu.

PERSEFONA

Gdzież wy — pieśni i wonie, które miłość czynią?...
Wszystko, co tutaj widzę, śmierci jest pustynią:
Łąki smutne, bez kwiatów, pola się nie kłoszą,
Kaząc tęsknić za latem, tęsknić za rozkoszą.
Już w bugajach, na stokach pagórków — niestety! —
Rzewnych śpiewek nie sączą sielankowe flety;
Z wszystkiego, zda się, płynie cichy szloch żałosny,
Jakby wszystko czekało nadaremnie wiosny.
Lecz niech głos mój znękany innym zabrzmie tonem.

CHÓR

Opowiadaj: co widzisz?

PERSEFONA

... Rzeki — zamrożone;

Potoki lkać przestały, bo nadeszła pora,
Gdy zmartwiały pod lodem. Po dziewiczych borach
Moja matka się błaka, zgrzebne wdziawszy szaty,
Pyta wszędzie o córkę, płacze lubej straty.
Brnie sama — przez bezdroża, przez zarośla w lesie,
Zapaloną pochodnię w dłoni drżącej niesie.
Wichry, pnie rosochate, krzemienie i głogi —
Czemu struchlałej z bólu nie schodzicie z drogi?
Matko, dosyć szukania! Córka cię dostrzegła,
Lecz jest w Piekle i już cię na zawsze odbiegła.
Biada... Oh! żeby bodaj błędny i daleki
Głos mój mógł...

CHÓR

Nie, twej mowy Demeter już nigdy
Nie posłyszysz...

EUMOLPES

Nieszczęsne, zrozpaczone cienie,
Zima przecież nie może trwać wieki.

Od tego momentu poczynszy, nastrój stopniowo rozpogadza się, muzyka zaczyna płynąć
długim *crescendo* — aż do chwili najwyższej wzniosłości, która ma trwać do sa-
mego końca drugiego obrazu i stanowić nawiązanie z solenną radością obrazu następnego

EUMOLPES

Demeter — długo, długo błędzącą po świecie,
W Eleuzyjskim zamku powitano;
Król Seleukos pieczy jej oddaje
Swoje nowonarodzone dziecię,
Demofoona — dziecię drogie,
Któremu Tryptolema pisane jest miano.

PERSEFONA

W kołysce z płonących głów, przez popiół i żar i ogień
Widzę... Widzę swą matkę, gdy nad dziecięciem staje.

EUMOLPES

O, bogini, czyliż twoim zamiarem
 Jest wywikłać go z losów człowieka?
 Możesz stworzyć z śmiertelnika boga, co się żadnych innych
 bóstw nie boi:

Sama chciałaś go karmić i sama go poisz —
 Ale karmisz nie słodyczą mleka,
 Lecz ambrozją i boskim nektarem, —
 Więc dziecko zdrowo wyrośnie i do życia się roześmiej.

CHÓR

Dusze nasze, pełne uniesienia, odzyskały z powrotem nadzieję.

PERSEFONA

Brnąc przez wydmy piaszczyste, chociaż toń wzburzona,
 Demeter — pod fal chybot — huśta go w ramionach,
 A chcąc, by w porę poznał słonych wiatrów smaki,
 Nagiego na bryz morskich wystawia ataki.
 Jakież on piękny — z twarzą zdrowo ogorzała!
 Wierzga i w nieśmiertelność preży członki śmiało.
 Witaj, Demofoonie, nadziejo ma cała!
 Spraw, bym znowu ogrodem ziemię oglądała.
 Nauczysz śmiertelników, jak dogadzać glebie,
 Gdy matka ma tej sztuki nauczyć wprzód ciebie.

EUMOLPES

Przez twoją wdzięczność dla niej i wzór dla oraczy.
 Persefona ożyje i dzień znów zobaczy.

PERSEFONA

Jakto — więc zdołam umknąć okropnościom Piekieł?
 A więc będę królową? I będę w dalekie
 Pola i łąki barwne uśmiech swój posyłać?

CHÓR

Tyś panią ziemskiej wiosny, nie panią podziemną.

PERSEFONA

Otworzywszy ramiona — czekasz, matko miła,
 Której się dziś raz wtóry córka urodziła,
 By w cudnych smugach słońca przywitać się ze mną.
 Pójdę! Pójdę — drzwi śmierci rozkruszę oczyma.

Nikt mnie, nawet sam Pluton ponury, nie wstrzyma!
 Wkrótce już, razem z tobą, drzew ujrzę korony,
 Chwiane lekko przez wiatry z południowej strony.
 O, mój ziemski małżonku — jasny Tryptolemie,
 Jam twoja. Kocham. Wracam posłusznie na ziemię.

Persefona idzie ku głębi sceny, która się przed nią rozświetla — podczas gdy przód sceny zalewa ciemność. Kurtyna.

OBRAZ TRZECI

EUMOLPES (przed odsłonięciem kurtyny)

Dalej nam Homer podaje,
 Jak to — przez czyn Demofoona —
 Córka jest matce zwrócona
 I na ziemi wiosna znów nastaje.

W głębi — wzgórze, ze świątynią dorycką na szczycie. Na pierwszym planie, na lewo — grobowiec wśród zazielenionych dębów; w bocznej jego ścianie, ukosem do widza — otwór wejściowy, zasłonięty narazie ciężkimi płytami z kamienia (na wzór mogił etruskich). U stóp tego przedsiönka żałoby czuwa Anioł Śmierci, z płonąca pochodnią w ręku.

EUMOLPES

Słynie to wzgórze strome,
 Bo tu widome
 Obecne i przyszłe dziwy.
 Grecy z głazów najgładszych
 Wzniesli na niem świątynię:
 Stąd Demeter w lud patrzy,
 Gdy się garnie, szczęśliwy.
 Tryptolemos jest przy niej,
 Z sierpem, który bezmierne
 Blaski przywabia z góry.
 Nadchodzą wierne
 Krasnych rusałek chóry.

Chór małych chłopców wstępuje po zboczu, idąc na spotkanie chórowi Nimf.

CHÓR NIMF

Pójdźcie do nas, ludzkie dzieci.

CHÓR DZIECI

Przyjmijcie nas, boże córky,
 Idziemy wam naprzeciw.

OBA CHÓRY

Wieńce niesiemy w dani
 Dla naszej pani,
 Jaskry, lilje, szafrany, bławatki,
 Krokusy i anemony...
 Kwiaty dla Persefony,
 A kłosy dla jej matki:
 Łan pszenney jeszcze młody,
 Ale żyto już w płowych szatach.

CHÓR DZIECI

Demeter, królowo lata,
 Udziel nam swej pogody.

CHÓR NIMF

Persefono, wróć i żyj swobodnie,
 Rozkrusz mogilne wrota!
 Anioł Śmierci znów zapala pochodnię
 Twego żywota.
 Demeter czeka, nieszczęśliwa;
 Tryptolemos czarny płaszcz z niej zrywa,
 Nie chcąc więcej widzieć jej w żałobie,
 I kwiatów naręcza całe
 Rozsypuje na twoim grobie.

OBA CHÓRY

Otwierajcie się, straszne podwoje.
 Martwe ognie, łuczywa zetlałe,
 Płońcie znowu. Już nadeszła pora
 Cmentarz opuścić, —
 Już nadeszło królowanie twoje,
 Wiosno! Stań się żywa z upiora
 I wyjdź do nas z nocnych czeluści.

Płyty kamienne poruszyły się na zawiasach. Persefona wstaje z mogiły.

EUMOLPES

Ocknęła się Persefona:
 Uśmiechnięta, zadziwiona
 Wraca z kraju ciężkich snów;
 Jak ten, kogo noc upije,
 Waha się, wątpi, czy żyje —
 Lecz naprawdę żyje znów.

CHÓR DZIECI

Coś tak chwiejna, Persefono,
 Jakby w sidła cię złowiono?
 Wkoło jeszcze chłód i mrok,
 Lecz już ptak gardziołko nurza
 W niebie i rozkwita róża
 Wszędzie, gdzie postawisz krok.

Bliższaś z każdym ruchem siebie;
 Taniec ciałem twem kolebie,
 Jak chwalący szczęście śpiew.
 Głoś wesele, głoś swobodę!
 Słońce pieści pąki młode,
 Wkradłszy się w kwitnący krzew.

Wszystko — aż po krańce świata —
 W jasność wielką, w śmiech się splata...
 I ty też wstępujesz w blask.

CHÓR NIMF

O czym dumas — co cię smęci,
 Że tak stoisz bez pamięci,
 Gdy tu miłość chce twych łask?

Persefona przyłączyła się nareszcie do Chóru Nymf. Demeter i Tryptolemos — na wierchołku wzgórza, dźwięgającego świątynię. Zaręczyny mistyczne.

CHÓR DZIECI

Persefono — powiedz nam: co zima
 Przed naszymi zataja oczyma?

Orkiestra milknie.

CHÓR NIMF

Jaką trwasz obarczona zagadką,
 Z dna otchłani przyniesioną w sobie?

Cisza.

OBA CHÓRY

Powiedz nam, coś widziała w grobie.

PERSEFONA

Persefona twym ślubom poddała się, matko,
 Byś suknie żałobnicy — zimowe, posępne,

Przystroiła w kolory, by znów ci urody
 Blask powrócił. Nimf, siostr mych, grono nieodstępne
 Pod zielenią listowia brodzi w trawach młodych.
 O, małżonku mój ziemski, pilny Tryptolemie!
 Demofoonie — ziarno, które wsiewasz w ziemię,
 Już kiełkuje, wyrasta, bujne wieści plony...
 Biegu czterech pór roku siła twa nie zmieni:
 Noc po dniu następuje, zima po jesieni.
 Jestem twoja — rozrządzaj ciałem Persefony,
 Do której i król Pluton mroczne serce skłania.
 Nie — nie weźmiesz mnie nigdy w uścisk, co zwycięża,
 Piękny Demofoonie, z całą mocą męża,
 Chociaż uścisku tego nikt ci nie zabrania.
 Wbrew miłosnej ochocie — pójdę, nieszczęśliwa,
 Gdzie los nieposkromiony wielkim głosem wzywa,
 Hen! w miasto utrapienia, gdzie mnie mrok ogarnie.
 Nie myśl, że w twarz przepaści patrzy się bezkarnie —
 Nie zdradzając miłości i nie przecząc życiu:
 Zobaczyłam, co ciemność więzi w swem ukryciu,
 I odtąd strasznej prawdy zapomnieć nie mogę.
 Z własnej woli z Merkurym wyruszę dziś w drogę;
 Nie korona mnie kusi, że iść się tam ważę;
 Nie prawo mi ten powrót, ale miłość każe.
 Krok za krokiem zdążając, mozołnie, powoli,
 Zejdę na dno rozpaczy — na dno ludzkiej doli.

Persefona bierze z rąk Merkurego zapaloną pochodnię; poprzedzana i prowadzona przez
 niego, wolno i uroczyście schodzi ku drzwiom grobowca, które się przed nią otwierają.
 Nimfy otaczają Demeter i Tryptolemosa. Chór Dzieci oraz Eumolpes pozostają na
 zboczu wzgórza.

EUMOLPES

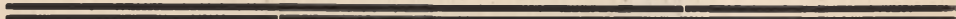
Ku ciemnościom, ku otchłaniom
 Prowadzą powolne kroki
 Pochodnię i ciebie — panią
 W kraj twój senny i szeroki.

Tam czekają marne cienie,
 Kto im dnia użyczyć raczy:
 Ty masz nieść im ukojenie,
 Miłość masz im nieść w rozpaczy!

Żeby wiosna przyszła wiosną,
Muszą zamrzeć ziarna żywe;
Z nowych nowe kłosy wzrosną
Dni jutrzejszych złotem żniwem.

Koniec

Przełożył
ROMAN KOŁONIECKI



NUCHIM BOMSE

W I E R S Z E

ŚLEPCY

*Topię się w ciszy własnej, przyjacielu,
bo pusty ten świat i ludzie daleko
od schorzałego mego serca.*

*Nawet dzwonów granie,
co rozlega się nocą w mieścinie,
nie koi mej męki,
gdyż pusty jest świat
i poomacku idąc, dróg szukają ludzie —
jak ślepe dziecięta.*

*Tak krążą i błdzą po ścieżkach ciernistych
i wyciągają w przestrzeń pustki nocnej
kijce sękatę.*

*Daremny ich trud,
bo zbyt dalekie te ścieżyny,
co się wiją w przestworzach świata.
A ich kijaszki zbyt krótkie, by dosięgnąć
kresu wędrówki.*

*I tak zostają — na zawsze zostaną,
sieroty ośleple,
jak dzieci w mieścinie o zmierzchu,
kresu niebios szukające...
Ale nie znajdą go nigdy, nie znajdą — —*

Topię się... w ciszy własnej... przyjacielu.

M Y Ś L

*Pusto było w twojej izbie, inwalido - kulawcze:
dzieci z zimna w barłogach skurczyły się w drgawce,
a żona, zakutana, wciąż szukała drzewa,
nienawistnie klęła ciebie, władców świata klęła.*

*Tylko ona, twoja noga, tuliła się do cie
i na ręk twoich pieszczotę czekała w tęsknocie;
lecz tyś zły był, bo ktoś, może czart, w tobie gawędził:
— Hej, twoja noga, to drzewo przecież — dobrze płonąć będzie.*

PRZED DZWONNICĄ

*Gdy pośród ciszy stoję w pobliżu parkanów klasztornych
przed waszą dzwonnica,
gdy słyszę, jak falują dźwięki pieśni Ave Maria —
chciałbym odnaleźć gdzieś jakieś zbliżenie
mego „ja“, co całe stęsknione;
zbliżenie do was,
wy — serca dzwonowe.*

*Słyszę, jak tony niosą się ku dalom, ku niebu,
gdy cicho ścielą się cienie dzwonnicy,
i kocham was.*

*

*A gdy wzywacie te chłopskie rzesze w puste przestrzenie klasztorne,
gdy się gromadzą powoli,
gdy czerwone usta młodych dziewczyn
całują Boga waszego na krzyżu —
jakże zbiedniały się czują!
Szukam gdzieś zbliżenia,
pragnę tak długo stać wsparty o parkan
i słuchać was, dzwony.*

Z tomu „Di Teg fin der Woch“. Przekład z żydowskiego.

STEFAN NAPIERSKI

POEZJA WAŻYKA

I

Dziesięć lat mija od chwili opublikowania pierwszego tomu Adama Ważyka. Był to okres bojowy *Zwrotnicy*, a przecie te wiersze debiutującego podówczas młodziutkiego autora o wiele śmielsze wносиły nowatorstwo od manifestów, teoryj i rozważań, z takim nakładem logiki, pomysłowości i fanatyzmu wreszcie, przekonanego o własnej nieomyślności, rozwijanych na łamach czasopisma przez Peipera. Ważyka od samego początku niepodobna było podporządkować; wymykał się łatwym klasyfikacjom; był urodzonym outsider'em. Własny obóz nie doceniał go, gdyż służył mu tylko pośrednio, rzechy się chciało: mimowoli. Zawsze to trudny do zgryzienia orzech i kłopotliwy dla otoczenia fakt, gdy nagle niezawisły zrodzi się poeta. I to poeta wybuchowy, *organicznie* odmienny od tego, co go poprzedzało, a nie stwór sztuczny, homunculus, intelektualną wyhodowany spekulacją.

Jeszcze jeden czynnik zakłócał możność klasyfikacji i utrudniał dostęp do rdzenia lśniącego tej niepospolitej twórczości: naiwność. Ktoś, przekonany o konieczności odnowienia do gruntu całej przekazanej aparatury pojęciowo-wersyfikacyjnej, zachowywał zarazem przedziwną świeżość; uczeni w piśmie, pedanci i skrybowie woleli wzruszyć ramionami, niż poddać się tej fali orzeźwiającej. Bagatelizowano Ważyka, gdyż, nie pragnąc tego, gorszył. Ułatwiał zadanie przeciwnikom poezji awangardowej „wogóle“, mieszając plewy do ziarn z bez troską swobodą młodości. Był zatem równie niebezpiecznym sprzymierzeńcem, kiedy na własnych nie oglądał się mogółów. Nikt niemal nie poznał się na fackie nadmiernie prostym: iż *Semafory* — pomimo wyzywająco programowego tytułu — były przedewszystkiem autoportretem wyczulonego młodzieńca, którego lata powojennego przełomu zbudziły do artystycznej świadomości.

Mamy przed sobą teraz wydanie oczyszczone (*Wiersze zebrane*, Warszawa, 1934; nakładem F. Hoesicka), przekształcone nawskroś, za które autor pełną przyjmuje odpowiedzialność. Wyjątkowy to zamiar i naogół przeprowadzony szczęśliwie; wyjątkowy, gdyż wymagający od autora szczególnego dystansu, owego krytycyzmu, na którym tak bardzo zbywało mu przed laty. Wbrew bowiem ustalonym dość powszechnie mniemaniom twórczość Ważyka daleka jest od mózgowości; przeciwnie: jest skąpa i spontaniczna, zamknięta w kręgu magji natyle tylko intelektualnej, na ile intelekt nieodzownym jest składnikiem nowoczesnego typu wyobraźni. Z nowej edycji autor wyłącza to jeno, co wówczas było przypadkowe, lecz zdumiewa wiernością, zachowaną samemu sobie, ustaleniem się, zakorzeniem (jeśli użyć wolno tego terminu w zastosowaniu do książki tak „napowietrznej”). Typ imaginacji pozostaje niezmienny; to właśnie nie jest objawem skostnienia, lecz gwarancją autentyczności.

Morze, jak uprzednio, nadal tom otwiera; wiersz to całkowicie wzruszeniowy: powstały w tej atmosferze marzeń, po której zwykły błędzić myśli dorastających uczniów, rojących o dalekim, niedostępnym, upragnionym świecie. I oto utwór ten, tak nieskomplikowany i przystępny w fabule, iż symptomatyczny niemal dla lat osiemnastu, zadziwia dojrzałością; ostatnie cztery linijki, przedłużenie rytmiki w finale, *bezpośredni* liryzm zawarty w słowa umiarkowane, czułe i dobitne, już tu świadczą o dyscyplinie, która ujarzmia wrażliwość i uczucia filtruje; logika budowy, kondensująca wzruszenia w precyzyjny dystych końcowy, akcent rozdzierający w swej prostocie, przerzut w imaginację, tragizm, zrównoważony przez harmonijny dobór, — przypomina to metodę i atmosferę Apollinaire'a. Ważyk jest fenomenem *przedwczesnej* dojrzałości; lecz „cudownem dzieckiem“ nie bywa się bezkarnie: niejedno grozi tu niebezpieczeństwo. *Liryka*, wiersz kolejny, całkowicie przetworzony, ujawnia znamieny dla poety *patoś* irracjonalności; ustrzegł się tu Ważyk, wiedziony poczuciem miary, grzechu, który czyha w podobnych tematach, a niedopuszczalnego w tym gatunku poezji nowoczesnej: alegoryzmu. Wiersz ten, znakomicie zinstrumentalizowany (w powtórznej redakcji), wygrany jest na dźwiękach, sylabach i literach; powinowactwo stonowanych brzmień, nieprzejeđnana, a przecie nie narzucająca się ich konsekwencja, stwarza łańcuch przeciągłych i rozdzwonionych tonacyj, skojarzeń uderzająco celnych i sugestywnych, które utwór ten — jakby całośćkę muzyczną — zawieszają w pustych empirejach wzniosłości. Jest coś okrutnie - osłepiającego, coś z rozbłysku fosforescencji, coś z powściągniętego spazmu w takiej zimnej i bezlitosnej dramatyczności. Ważyka posądzano o kalkulacyjność; lecz, biorąc za podstawę sądu tę *Lirykę* i więk-

szość powtórnie opracowanych wierszy, mniemanie to należy obalić. Stwierdzić natomiast wolno, iż jest to poeta wstydlivy: dlatego się konspiruje.

Hiacynt był, a ile mnie pamięć nie zawodzi, jednym z pierwszych drukowanych i szerzej znanych wierszy Ważyka (opublikowany pierwotnie, co nie pozbawione jest pikanterji, w... *Skamandrze*). Gdyby nie znało się nic poza tem tegoż autora, możnaby skonstatować bez wahania: to manifestacja wielkiego talentu. Wspaniale rozbudowana wizja, uginająca się, jak biblijna niewiasta, od nadmiaru klejnotów i draperyj, coś z kolekcjonerstwa d'Esseintes'a, zapatrzonego somnambulicznie w ślepe pełganie drogocennych kamieni, sztuczność, sztywność, dekoracyjność i głębia, jak na obrazach Gustawa Moreau. Słowem — wiele z tego, co zwało się „dekadentyzmem“ przy końcu ubiegłego stulecia, dług spacony symbolizmowi; ale jaki oryginalny koloryt, cóż za przepych obrazowania, jaka znakomita orkiestracja, jakie pasowanie się o formę (nie wiem czy zwrócono uwagę, że są tu ślady wersyfikacji Słonimskiego z *Godziny poezji*, której ktoś podówczas nie ulegał?), jakie zmaganie się z tragicznem powołaniem poetyckiem! Utwór mało samorodny wprawdzie, lecz niezwykle piękny, odosobniony w swej „bizantyjskości“ na całym obszarze powojennej poezji polskiej, który wytrzymał próbę czasu. O ilu wierszach da się to powiedzieć, zwłaszcza jeśli należą do *juveniljów*? Oczywiście, jego „jubilerstwo“ (łańcuszki, breloki, puzderka), „wyuzdanie“ (kurtyzany, bogunki etc.) — to całkowity obecnie anachronizm. Charakterystyczne są dla Ważyka napotymane tutaj motywy miejskiego niejako „egzotyizmu“: a zatem zegarmistrz, fryzjerzy, zapachy sklepów korzennych i t. p. Z tematyki tej nie wyzwolił się nigdy. Ten poeta, tropiący słowo „Bóg“, przemocą się racjonalizujący, w takich najbardziej banalnych i ku fantastyczności wyrastających postaciach i elementach zakonspirował swą żądzę tajemniczości i kolorystyki. *Podróż w czasie*, wiersz pełen nie starzejącego się wdzięku, znamienny jest dla sumiennej metody pracy Ważyka; sumiennność tę posuwa tak daleko, iż pozostawia lub obecnie wzmacnia nawet drobne „wyrafinowania“ w rodzaju rymów wewnętrznych. W szczegółach tych odsłania mimowoli dawniejszą swą postawę, która w przemianach przetrwała po dziś dzień: stylistycznego *précieux*; jaskrawa brutalność obrazów ma tu zamaskować właściwą istotę autora: kruchą delikatność. Poprzez soczysty neo-realizm imaginacyjny ten przeciwnik symbolizmu dociera do uderzających i nawskroś symbolicznych metafor, łączących pospolitość, niemal kiczową, z niepośledniem pięknem („tęcza — podobna do gotyku załamanych rąk“). Co więcej w powtórnej redakcji zastanawia dbałością o znormalizowanie rytmiki; dopełnienia zdaniowe, tu i ówdzie dyskretnie wstawiona sylaba, temu wyłącznie służąc zdają się celowi. Poeta zabiega coraz silniej o jednorodność; czyż — w ramach gatunku — nie równa się to trosce o *klasycyzm*?

Niedziela w tomie zbiorowym znalazła się chyba jako dokument: dokument wczesnego i nieodróżnionego erotyzmu; autor zapewne do utworów podobnych przywiązany jest raczej emocjonalnie. Artystycznie rażą przesadą; zieleń, „soczysta jak biodra rozkwitłych dziewcząt“, serce „rozsadzające piersi jak dynamit“ — to maniera przykra w swej egzageracji, mało wybredna i wielce ograna. Choć kto wie, czy tu właśnie autor nie był najbardziej bezpośredni, bo, jak wiadomo, drugą stroną wyrafinowania często bywa wulgarność. To zaznaczywszy mimochodem, warto zatrzymać się dłużej nieco nad kilkoma wybornymi wierszami. W *Szachach* wypuszczono szereg strof nieudolnych lub okolicznościowo-lirycznych; inne przerobiono, wszystkie podciągając ku rygorowi. Otrzymujemy w wyniku ciekawe połączenie wyrachowania i inspiracji (tylko zwrotka VI jest całkowicie niezrozumiała, może niedopatrzenie korekty?); znakomite dystychy, jakby pół-ironicznie traktowane, deformowane z taktem i umiejętności, pozornym tradycyjnym pokrywają treść całkowicie irracjonalną, lecz w obrębie założenia logiczną, sugestywną, uroczą. Rozgrywa się przed nami miniaturowy dramat postaci urojonych, niemal marjonetek, pulsujący uczuciem i utajonym znaczeniem. Słowo „niespodzianka“ nie przypadkowo użyte jest w drugiej redakcji: cały wiersz jest teatralną feerią, zamkniętą w ramy zgóry postanowione. O jedno tylko posprzeczać się należy z autorem: o dobór wyrazów, o terminologię; ma on upodobanie wymyślnej niejako konkretności: „szalona pałka“, „na schwał“, „skowroda“ (*sic!*) i t. d. — czyż nie zatracą to aby leksykonem? Nie jest-że to kolekcjonerstwo? Tembardziej, że zastrzeżenie to nie dotyczy wyłącznie omawianego utworu.

W wierszu następnym nic niemal nie pozostało z kształtu pierwotnego z wyjątkiem motywów: forma jego dzięki temu dojrzała. *Na marginesie programu*: to jakby *credo* poetyckiej matematyki. Nieskazitelna kompozycja utworu przypomina prowokacyjny spokój *l'art poétique* Jana Cocteau. Nikt z autorów awangardy polskiej nie zakreślił z takim majsterstwem — w granicach wiersza, nie artykułu lub enuncjacji — programu odnowienia, nikt tak składnie wierszem go nie zrealizował. Ukazanie szkieletu kompozycji i jednocześnie dokonanie artystycznej budowy, dysekcja i ucieleśnienie — jakby całość techniczna, jednocześnie reprezentowana trójwymiarowo i w przekroju, konkret i zarazem jego wykres — to wynik zewszecmiar zastanawiający. Wążyk potępia tu „poezję przekwitłych wieczorów“ i odżegnywa się od „goniących szczurów symbolów“ (co niezawsze, nawiasem mówiąc, udaje mu się, jak stwierdzono powyżej, bo wątpić należy, czy wogóle udać się może poecie: symbole wracają zamaskowane), lecz zato z jakim znawstwem wiersz instrumentalizuje! Rymuje: „muzy — muzyki“; wspaniała to wymyślność, przypominająca Max Jacob'a; lecz takie dalekie konsonanse,

mogące trafić wyłącznie do ucha „znawcy“, czyż nie są aby pośredniem przyznaniem się do *artystostwa*? Bezinteresowność formalna, tak daleko doprowadzona, musi zaimponować; lecz budzi się wątpliwość, czy nie obciąża ona podobnie (choć odmiennie) wiersza, jak „rozpusta przymiotników“, jak orgja symbolów? Jedno jest pewne — w wierszu takim nie ma łatwizny. Jest upór nowatorstwa — tu i wszędzie gdzieindziej. Zdziwiająca właściwość: wieloplanowość, sprowadzona do jednego mianownika, do maksymalnego zgęszczenia (porównaj *Tramwaj*). Ten wiersz ostatni, jak mnóstwo innych, jest właściwie *anegdotą*, całkowicie i wszechstronnie wyczerpaną pod względem poetyckim; narracyjność Ważyka bowiem jest lapidarna (w przeciwieństwie do tępionej przez poetów awangardy „opisowości“), jest syntetyczna. Ale bywa tak, że przemienia się w schemat. To główny powód, dla którego, omawiając pierwszą część tomu, na którą złożyły się przepracowane *Semaforey*, szereg innych wierszy pominięto.

II

Oczy i usta, część druga *Wierszy zebranych*, datują się z r. 1926 i w pierwodruku urzędowe niejako noszą piętno *Zwrotnicy*, będąc jednym z niezbyt licznych jej wydawnictw. A przecie sądzić wolno, iż Ważyk raczej przez pozucie solidarności z polską odmianą poetyckiej awangardy, niżli przez istotną, organiczną łączność z owoczesną grupą krakowską podporządkował się wspólnemu określnikowi. Wiersze tomu — zwłaszcza w definitywnej redakcji — nie spełniają większości postulatów Peipera lub też w znacznym stopniu wykraczają poza nie.

Apolog, wstępny utwór zbioru, w strukturze swej jest wezwaniem do nowoczesnego epizmu; wiersz to bardziej w ryzach trzymany od tych, jakie dwa lata przedtem umieszczono w *Semaforach*, lecz z podobnych złożony elementów. W wydaniu ostatecznem nieznacznej jeno uległ przemianie; piękno „maszyny“, głoszone podówczas przez Peipera, stanowi jeden z wątków, silniej zaakcentowanych, lecz jakże stąd daleko do prymitywnego bałwochwalstwa futuryzmu! Nie jest tu bynajmniej proklamowany triumf maszynizmu, ni opiewana technika, czyto jako narzędzie walki człowieka z naturą, jako wyraz jego zdobywczości zbiorowej (to byłby moment socjalny, którego brak tutaj), czy też jako symptom bezinteresownego dynamizmu, lub wreszcie wynik jej: przyrząd celowy, rozumny i harmonijny, a przeto godny pochwały (takie byłyby nastawienia konstruktywisty). Nie, w gruncie rzeczy Ważyk zajmuje tutaj postawę indywidualisty, który zarzeka się magji łatwej, przejętej, konwencjonalnej („Nie chcę klucza od przepaści...“) na korzyść trudniejszej, krytyczniej śledzonej, *oczyszczonej* niejako. Lecz czarnoksiężtwo

pozostaje, owa „mitologia dni moich“ (finał wiersza), dni poety, wcielającego się w rzeczy, *równouprawniającego* je, by móc pochwycić ich utajony związek, scałkować je na jednym planie — dzieła sztuki, — odnaleźć „kosmiczne“ ich podłoże. — *Pejzaż i Cierpliwość rybacka* — to próby pokonania impresjonizmu, komponowanie impresjonistycznych składników w nadrzędną całość; tu przecinają się różnorodne płaszczyzny, jak na nowoczesnych malowidłach, tworząc zlekka przez groteskowość zniekształcone *ruchome* krajobrazy.

Metoda ta przypomina zdjęcia kinowe, w których wola i oko operatora zaznacza przez sam dobór plastycznej pewne szczegóły, innych pozwalając się jeno domyślać; tu znakomicie przeprowadzona jest ta gra filmowo-poetyckich kontrastów i uzupełnień. Natomiast dystychami pisany poemacik *Panie i pastuch* obecnie wydaje się zwietrzały; aliteracje aż do wyzywającego tytułu włącznie, wyborne skądinąd asonanse, gatunek obrazowości — wszystko to jest natrętne, zmierzające do epatowania, nadto popisowe, jak podobne w temacie i wówczas pisane wiersze Anatola Sterna. Dziś już owa „szkoła poetycka“ zdaje się być historycznym zabytkiem; możemy na chłodno podziwiać umiejętność, a nawet zręczność takiej stylistycznej kaligrafii, lecz jest to tylko i wyłącznie sprawna robota, *tour de force*, po niewielu latach nie wyładowująca emocyj artystycznych, zamiast sprzeciwu budząca uśmiech.

Lotnik i maszynista posiada dwie piękne strofy środkowe: to najlepszy Ważyk, ten, który potrafi wykrzesać szlachetny i poważny patos z tak powszednich utensyljów, jak laska, kapelusz, papieros; lotnik zwie się tutaj „Ikarem z płótna i aluminium“, maszynista: „centaurem czarnym z latarnią nad czołem“ — powraca najautentyczniejsza mitologia, która zmieniła jeno przedmiot adoracji, niezafałszowana romantyka, dźwigająca współczesność na koturn. *Dyscyplina* — nowy to wiersz, nienaganny, nieco chłodny, raczej wykres formalny, niż zrealizowanie poezji; cenny jest całkowity umiar utworu, niezbyt częsty u Ważka. *Aortę* analizowano wielokrotnie i w pełni zasługi na to zainteresowanie: to jeden z najbardziej samorodnych, najbardziej „własnych“ wierszy autora i, jeśli uwzględnić epokę powstania, zarazem może szczytowe dokonanie owoczesnej awangardy polskiej. Wszystkie elementy są tu istotnie nowe, całkowicie sprawdzalne, zrównoważone, a przytem nawskroś osobistym przesiąknięte liryzmem; imponuje śmiałość i logika metafor, znakomita składowość skojarzeń, *integralna* kompozycja wiersza: wiersz nie jest jak dotychczas złożony z zestawień, lecz urodzony w całości, niby Minerwa wyskakująca z głowy Jowisza. Dodać trzeba, że jest to poezja o niezwykle nasilonej temperaturze: wystarczy przeczytać odnowa kilka wyrazów, by zanurzyć się w ten ozon, w ten powiew naglej świeżości. Wierszowi temu niejedno mają do zawdzięczenia współcześni Ważykowi i młodszy odeń

poeci; to też spłacają mu dank, analizując go i niekiedy zapożyczając się (bez podania adresu).

Skwer zkolei — to jakby rapsod refleksyjny, pełen dumnej rezygnacji; wpatrujemy się w tę senną taflę, ustawioną naprzeciw oczom z niezachwianą pewnością somnambulika, by po chwili dopiero spostrzec, że jest to nie tylko poezja widzeń, lecz zarazem poezja *poznawcza*. Tu autor poprzestaje na własnym niepowtarzalnym mikrokosmosie, zaprzecza niepokojowi poszukiwań. Ostrze wiersza jest wyraźnie „antymetafizyczne”; artysta opowiada się za konkretem, fantastyczniejszym od majaków, za konkretem, który dla poety paruje fantomami. Są w tym wierszu jakieś definitywne formuły o niezapomnianej sugestywności; epizm *zwyczajności* ma w Ważyku wymownego przedstawiciela; następuje rehabilitacja gestów najbardziej powszednich, które wydzielone, podkreślone jak na scenie, na pierwszy plan wysunięte, zbliżone oku, niby na ekranie, olbrzymiejące i steatralizowane — nabierają wyrazu, perspektywy, tragizmu. Jeden przykład wystarczy:

Niech sen mnie surowy igliwiem otuli
jak dnia tego południe i jak wieczór nawet
Teraz jest trzecia w nocy
Już obrywają się guziki u dziennej koszuli
jak zwiędły kwiat na piersi mojej leży krawat
Dosyć

Tak to do pełni niesamowitego znaczenia dochodzi proklamowana w wierszu wstępnym części drugiej — „rzecz pospolita“.

W *Nocy żelaznej* — jak często u Ważyka — przeżywamy spotęgowaną realność, uzyskaną przez istny najazd irracjonalności; a przecie utwór jest uderzająco jednolity; służą temu: znakomite odległe asonanse, matematyczna nienagannność konstrukcji, jednorodność obrazowa, wreszcie powtarzanie tych samych motywów w nasilonych tonacjach.

Obecnie szereg wierszy drobniejszych należy omówić wspólnie; są rozrzucone w obrębie tomu, lecz pewne ich powinowactwo da się nie tylko mechanicznie zestawić. I tak: *Dagierotyp* — to opera-buffo, bezinteresowna anegdota poetycka o wyjątkowym wdzięku (spotykamy tu skądinąd przestylizowania typowe dla autora, *exempli modo*: „plądrujący kulig“). Utwór zaleca niepospolita zwartość, kto inny te cztery strofy rozprosiłby szeroko, tu natomiast każde zdanie posiada *maximum* zgęszczenia i ekspresji. *Sierpień* — dość rzadka u autora bezpośrednia liryka, wiersz, przedziwnie dojrzała kłamra zawarty w finale; zakończenie to (właściwie cała ostatnia strofa nie-powszedniej piękności), utrzymane na bardzo wysokim poziomie, figuruje — rzecz znamienna — tylko w wydaniu drugim, ostatecznym. Finałów, kiedy porównać go z poprzedzającymi strofami, nawskroś sensualnemi, jakby krajobraz zatoniowany, rozłożony i wessany siecią pojedynczych

zmysłów, jest charakterystycznym dla poety objawem narzuconego sobie dystansu, dwutorowości jego wyobraźni, a co za tem idzie, koncepcji artystycznej: ów wydzźwięk bezinteresowny i sumujący, to pohamowanie uczucia, stanowi przerzut na plan czystej formy. Sąsiadujący tuż obok *Wrzesień* jest słabszy nieco z wyjątkiem zadziwiająco prostej i ujmującej zwrotki ostatniej.

Nowe, po raz pierwszy włączone do tomu, są dwa utwory: *Do przyjaciela* oraz *Wykres* — oba wyborne w pośredniości, w zdystansowaniu między techniką a treścią emocjonalną. Tu, by raz jeszcze zaznaczyć, kryje się *wstydlivość* Ważyka: kiedy to w sposób tak dla niego typowy anegdota przenika w nierealność. Irracjonalizm — jest jakby rozwiązaniem takiej anegdoty, jest podźwignięciem jej ku czwartemu wymiarowi poetyckiemu, jest zarazem jej motywacją i usprawiedliwieniem. Zadanie kompozycji sprowadza się w takich razach do zakreslenia *konturu*, który więzi płynność, tem dobitniej uwydatniając *jednorazową* i niepowtarzalną zawartość przeżycia; jest to jakby obrysowanie cyrkiem: *uwiecznienie* anegdoty. Jest tak, jakby w żrenicy autora mieściła się soczewka fotograficzna o fantastycznej doskonałości, jakiś nie istniejący aparat z dalekiej przyszłości, który operuje swobodnie infra-czerwonemi i ultra-fioletowemi promieniami, przygważdżając linje niewidzialne. Te dwa wiersze to skondensowany materiał — nienapisanych nowel.

Pominąć wypadnie szereg utworów innych — z braku miejsca — by zatrzymać się chwilę na tym, który zatytułowany jest *Syfon na Pradze*. Wiersz to w pewnych kołach głośny, niejednokrotnie cytowany i omawiany; istotnie jest to poemacik o nawskroś nowoczesnej magji artystycznej. Punkt wyjścia: ów groteskowy w surowej i nieokrzeseanej prostocie „syfon“ nie jest jakowymś symbolem w intencji autora, a przecie przez ładunek wyobraźniowy, przez patos wspominania wywołuje on przeobrażenie gwałtowne świata całego, prowokuje coś w rodzaju cudu. Ku niemu, jak ku żłobkowi w jasełkach, pielgrzymują i wokół niego gromadzą się postaci, stwory, zwierzęta. Nagle on to — niepozorny i banalny — przetwarza się w ośrodek wszystkiego, co się dzieje, przemienia w wydzielony poza przypadkowość punkt ogniskowy absolutnego istnienia, w magnes wesoły, najdalsze skupiający opiłki, w instrument, obdarzony krzepkimi siłami ziemi, który wysyłanym prądem równouprawnia i w wyższą jedność całkuje rozproszone cząstki. Delikatnemi linjami, z humorem i liryzmem, zakreslona jest ta współczesna legenda. Ogrodnik z warzywem, panienska, konie „jak niegdyś przed arką“, „pyzate gołębie“, psy „z liljami w pyskach“ — to *dramatis personae* feerji, nie ustępującej w celności i wdzięku (patrz str. III i IV) czołowym wierszom Apollinaire'a.

Dobranoc — to jeden jeszcze dowód wstydlivej powściągliwości auto-

ra; kto inny pisałby przydługie liryki o tem przełomowem dla poety doznaniu: kiedy to z wieczora świat gaśnie, obumiera i mija bez śladu stan oczarowania. Tu ów wstrząs, mogący wypełnić rozwlekłe elegje, zawarty jest w czterech zwrotkach. Naturalna pomysłowość, która pozwala deszczom wracać do nieba, a drzewom do ziemi, jest odkrywczą, gdyż wynika z inspiracji. Nie na tem nie cierpi logika obrazów, ni integralność kompozycji — niezmacony, słowem, *formizm* wiersza. Ważyk, którego pomawiano — jakże niesłusznie! — o spekulatywność i doktrynerstwo, tworzy w gorączce natchnienia. Nie racjonalizuje (to zadanie godne partaczy), lecz temat, motyw, przeżycie odsuwa na odległość widzenia, kontroluje przez mgnienie oka, widzi jasno. Nie zaraża liryzmem, lecz go filtruje, by w cichej melodyjności ukryć wielki wybuch; w autodyscyplinie, w czystości ekspozycji wyrównuje mu bodaj jeden Przyboś, oraz — w odmiennych wymiarach — Tuwim. Tu razić mogą jeno pewne „rekwizyty nowoczesności“ (zresztą nie traktowane może nadto serjo, lecz właśnie przez to zostawiające czytelnika w zawieszeniu niepełności), owe „pojazdy porzucające garaż“ (*sic!*), oraz w drugiej strofie alegoryczna „fregata“, doskonała jako — karczemne niejako — godło fikcyjnego odjazdu, odejścia, przemijania, a jednakże nadmiernie wystylizowana. Ważyk, czysty poeta, niezawsze ustrzec się potrafi literatury w niedobrem znaczeniu tego słowa. *List rekonwalescenta* — to jedna z piękniejszych elegij polskiej poezji powojennej, majstersztyk trzymanej w korbach stylizacji, poemacik, łączący jasność i przejrzystą zwartość preparatu z głębią uczuciową, sprawdzalność obrazową z insynuacją niedopowiedzianych perspektyw. *Aluzjonizm*, tak niesprawiedliwie i płytko ostatnio zwalczany, osiągnął tu wyraz klasyczny; jest to ów gatunek epizmu wrażliwego i bardzo osobistego, w którym celuje taki Max Jacob (patrz zwłaszcza zakończenie wiersza: jakby komentarz i niezbędny zwornik intelektualny); epizmu, gdzie kaprys, fantazja, przerysowanie umyślne, niespodzianka: pozorna, słowem, dowolność — daje w wyniku całość obiektywną i nawskroś wylegitymowaną. Jest w tem, jeśli rzec tak wolno, przekorne *wyrachowanie formalne*; „metoda“ to trudniejsza i większego wymagająca opanowania, niżli wydaje się epigonom, naśladowcom i powierzchownym krytykom: kunszt zasadza się na tem, by własne zatrzeć ślady, by pozostawić czytelnikowi uroczne złudzenie rozigrania; mało komu jest to dane, gdyż u dna takiej koncepcji poetyckiej spoczywa samoistna wizja świata, odbarwiona z trafu i wyższej poddana konieczności, jakaś „anielska“ logika, przypominająca lotne i zarazem nieubłagane konsekwentne partytury muzyczne. Wiersz świetny, mogący mierzyć się z podobnemi dokonaniem na Zachodzie; poznać się na nim niełatwo: jest dyskretny i nieefektowny, co stanowi jeden walor więcej.

Z gatunku pokrewny jest mu *Koń trojański* (nietylko przez swe zlekka zdeformowane dystychy). Tu motyw antyczny stanowi wyłącznie pretekst formalny; temat — Helena trojańska — oglądany jest zdaleka, żrenicą wybredną i rozczuloną, przez artystę nowoczesnego, który nie kryje się z tem, że go ta naiwność przejmuję i wzrusza. Artysta taki, z samowiedzą kładąc tłumik wzruszeniu, tworzy w rezultacie wtórny prymityw, którego cenność uwarunkowana jest przede wszystkim nieprzeciągnięciem linii: wszystko zależy tu od umiaru i dyskrekcji. Trawestacja, odrobina parodji (lecz bynajmniej nie kpiarskiej à la Offenbach), rozmyślnie anachronizmy, prywatna niejako zażyłość z postaciami i wątkami, przejętymi z uniwersalnej tradycji literackiej, świadome prostactwo, zmierzające do pozbawienia tematu trywialnego patosu, — oto główne elementy, składające się na wyborną, kame-ralną całość. W tem pozornem spospolitowaniu tematu oficjalnego kryje się wiele bardzo rafinady, a nawet przewrotności, do której Ważyk — przypuszczać należy — nie przyznałby się chętnie.

Pozostały do omówienia: *Ślub Krzysztofa* oraz *Henryka i Elżbieta*, dwa większe poematy, w pełni zasługujące na to odpowiedzialne miano. Wymagałyby one oddzielnego szkicu; tu zaznaczyć wypadnie pobieżnie, iż te próby „nowego ładu“ są zadziwiającym eksperymentem. Są to jedyne znane recenzentowi *nowele* na całym obszarze nowoczesnej poezji: gatunek bez precedensu, nie mogący powołać się na zbliżone wzory. Utwory takie znakomicie nadawałyby się do badań, do szczegółowych i dokładnych analiz, gdyby u nas — podobnie jak w Rosji — istniało coś w rodzaju seminarjum poezji współczesnej. Nierozdzielnie połączona jest tu lotność z precyzją, fantastyka irracjonalna z rygorem kompozycji, powszednie motywy z artystyczną ich sublimacją, erotyzm wreszcie z subtelną wypowiedzią liryczną. Dynamiczne te feerje nie mają sobie ni podobnych ni równych.

Tembardziej żałować wypada, iż Ważyk zaniechał kontynuacji, iż tak zupełnie pochłonęła go proza. Dopelnienia, przetworzenia, przeróbki wierszy dawniejszych świadczą dowodnie o niewyczerpanej inspiracji, o wzmożonej samowiedzy; biegłość ta — acz niekiedy nadmierna — jest przecie poręką i świadectwem całkowitej dojrzałości artystycznej. Droga ta nie powinna prowadzić do ślepej uliczki, do zamilknięcia, do rezygnacji, gdyż meandry jej nie wiją się w próżni, lecz są *rzutowaniem* realności, nową wiedzą o geometrii artystycznej, śladami walki o żywą, elastyczną, niezakrzepłą dyscyplinę. Niejaka oschłość utworów dołączonych, powstałych zatem później, winna być ostrzeżeniem dla autora, że nie należy zaniedbywać dalszego drażenia strugi „niewymiernego źródła“. Tak, jak się rzecz ma obecnie, w tomie *Wierszy zebranych* Ważyka dopatrzyć się można liryki eksperymentalnej o niepospolicie wysokim poziomie. Jest to w istocie poezja in-

tegralna i bezkompromisowa aż do manieryzmu włącznie — i nie postanowiona zgóry, lecz organicznie uwarunkowana wyjątkową, samorodną, całkowicie osamotnioną, wyłączną osobowością autora. Funkcja społeczna takiej twórczości trudna byłaby do określenia; jest to twórczość żywa, zmysłowa, pulsująca, najdalsza od papierowości, pełna ryzyka, a przecie pozbawiona z natury swej szerszego koła odbiorców, mimowoli apelująca do elity; nie zdobywcza, lecz odkrywca: rozwiera i piętrzy nieprzeczuwane kręgi i perspektywy wyobrażeniowe, wzbogaca i różniczkuje wrażliwość, *fikcją rehabilituje powszedniość*. Jest to alchemia, która nie da się rozmienić na drobne, ni oportunistycznie zastosować; nie wiedzie z laboratorium ku użyteczności, lecz na próg dziwowiska, czarodziejstwa, cudu. Zwykły świat ulega tu jednorazowej i niepowtarzalnej metamorfozie. Poznać się na tem powinni przede wszystkim poeci; jeśli nie uczynili tego w mierze dostatecznej — tem gorzej dla maruderów.

EMIL BOBROWSKI

S P R A W A STANISŁAWA BRZozOWSKIEGO

AKTA SĄDU OBYWATELSKIEGO

(Dokończenie)

IX

W obradach Sądu następuje znów dłuższa przerwa, spowodowana koniecznością zebrania, uporządkowania i przepisania protokołów i niektórych aktów dla obrony. Sędziowie stale domagali się przyspieszenia tempa obrad Sądu. Z okresu tego znalazłem w aktach cztery listy.

List D-ra H. D i a m a n d a z dnia 27.10.1909:

Moi Drodzy! Zupełnie uznaję zniechęcenie Wasze i Perla. Przypomniałem niedawno Buberowi konieczność skończenia sprawy, prosił o dalszą zwłokę. Zupełnie uznaję potrzebę zwołania sądu na naradę, w danej chwili jednak terminu oznaczyć nie mogę ze względu na parlament. Liczę, że z początkiem przyszłego tygodnia uda mi się przyjechać na posiedzenie do Krakowa, przedtem Was co do dnia poinformuję z prośbą powiadomienia sędziów w Krakowie zamieszkałych, Kona powiadomię sam. Serdeczne pozdrowienia. (—) Herman Diamand (Pieczętka pocztowa: Wien 27.X.09).

List D-ra R. B u b e r a z dnia 3.XI.09:

Dnia 3.XI.1909. Drogi Towarzyszu!

Mam zamiar już wkrótce prosić o zwołanie sądu w sprawie Brzozowskiego. W tym celu pozwalam sobie upraszać Was, byście zechcieli łaskawie dać mi sporządzić odpisy z ostatniego protokołu rozprawy i z wszystkich załączników i dokumentów, z których nie mam jeszcze odpisów, a w szczególności wszystkich pism i listów, które nadeszły do sądu po ostatniej rozprawie, bo chciałbym jeszcze przed rozprawą przedstawić sądowi dowody, jakieby okazały się potrzebnymi. Ew. koszta zwrócę z podziękowaniem. Proszę o rychłą odpowiedź i łączę serdeczny uścisk dłoni. Wasz (—) Buber.

List D-ra H. D i a m a n d a z dnia 15.XI.09:

Lwów, dnia 15.XI.1909. Drogi Towarzyszu!

Stosownie do Waszego życzenia, gotów jestem przyjechać do Krakowa, celem naradzenia się w sprawie Brzozowskiego. Wyjadę stąd we środę 17 b. m. rano i zostanę w Krakowie do północy. Mamy więc dosyć czasu dla zastanowienia się (od 3 po poł. do 12 w nocy). Z dworca pojedę do Bisanca i tam będę czekał na powiadomienie mnie, gdzie posiedzenie się odbędzie. Gdyby narada odbyć się nie mogła, proszę powiadomić mnie o tem jutro telegraficznie, jak niemniej towarzysza Kona, któremu piszę jednocześnie.

Ściskam dłoń Waszą. (—) Herman Diamand.

Krakowskich sędziów powiadomcie.

List D-ra F. K o n a z dnia 16.XI.09:

Szanowny Towarzyszu! Otrzymałem od tow. Diamanda list z zapytaniem, czy wobec zbyt długiej przerwy w sprawie Brzozowskiego nie należy czego uczynić z inicjatywy Sądu, by zakończenie tej sprawy przyspieszyć. Nie mogąc przyjechać do Krakowa, komunikuję swe zdanie listownie. Sądzę, że należy zawiadomić t. Bubera i Moraczewskiego, iż pozostawia się im conajwyżej miesiąc czasu na zebranie dalszych materiałów i już obecnie wyznaczyć posiedzenie Sądu na drugą połowę grudnia.

Łączę pozdrowienia. (—) F. Kon. 16.XI.09 r.

Dnia 17.XI.09 zebrał się Sąd na naradę, z której zachował się w aktach jedynie bruljon lakonicznego protokołu:

PROTOKUŁ

narady Sądu z dnia 17.XI.1909

1) Oznaczono termin Sądu na dzień 18, 19 i 20 grudnia 1909. Zawiadomić zaraz Bubera;

2) Napisać do Kwiatka z żądaniem przesłania listu Burcewa o Utgofie i by nadesłał protokół, jaki jeszcze ma;

3) Zawiadomić Kona (Drohobycz, Kasa Chorych). (—) E. Bobrowski.

Przed rozesłaniem oficjalnego zawiadomienia o posiedzeniu Sądu otrzymał Sąd poniżej podane listy:

List D-ra E. S z a l i t a z dnia 28.XI.09:

Kraków, 28.XI.1909.

Szanowny Towarzyszu! Otrzymałem list od Brzozowskiego z prośbą, abym go Wam przesłał. Bądźcie łaskawi kartką potwierdzić mi odbiór listu.

Pozdrawiam (—) E. Szalit. Dietłowska 93.

List. S t. B r z o z o w s k i e g o (przesłany przez E. Szalita) z dnia 24.XI.09:

Do Szanownego Sądu Obywatelskiego w Krakowie.

Otrzymałem w drodze prywatnej wiadomość, że dalsze posiedzenie Sądu w mojej sprawie zostało wyznaczone na połowę grudnia. Od dłuższego czasu jestem chory, obecnie zaś od dni kilkunastu stan zdrowia pogorszył się o tyle, że przyjazd mój w ciągu najbliższych tygodni jest fizyczną niemożliwością. Ośmielam się prosić Szanowny Sąd o niewyznaczanie obecnie terminu rozprawy; gdybym nie miał pewności, że podróżą wywołam ciężką chorobę i postawię rodzinę swą w położeniu bez wyjścia, bez żadnej

korzyści dla sprawy — nie zważałbym na ostrzeżenie lekarza. Wyznaczenie terminu Sądu i odwołanie go z powodu mojej najbardziej uzasadnionej nieobecności wywoła niezastłżone komentarze prasy, wobec której jestem bezsilny. Gdy tylko stan mojego zdrowia polepszy się o tyle, że umożliwi mi odbycie drogi, moi Mężowie Zaufania zawiadomią Szanowny Sąd, że jestem jak byłem dotąd do Jego rozporządzenia. Obecnie jest rzeczą wykluczoną, abym był w stanie drogę odbyć w ciągu najbliższego miesiąca: lekarz skostatował obostrzenie procesu w płucach i wysięk na prawym boku — nie chce nic słyszeć o drodze nawet do cieplejszego klimatu, póki nie przejdzie przynajmniej parę tygodni bez gorączki, która narazie trwa; wobec tego śmiem przedłożyć do uznania Sądu prośbę o niewyznaczanie terminu rozprawy. (—) Stanisław Brzozowski. Florencja, 24 listopada 1909.

List D-ra R. Bubera z dnia 28.XI.09:

Dnia 28.XI.1909.

Szanowny Towarzyszu! Przesyłam Wam spis odpisów, jakie od Was odebrałem:

A) protokoły: z 14.2-1909, z 15.2-1909, z 16.2-1909, 18.2-1909, z 19.2-1909, z 20.2-1909;

B) załączniki: Nr. 8, 9 do 21 włącznie, Nr. 22, 23, 24, 27, 28, Nr. 30, 31, 32, 33; list Kittaja, Bleszyńskiego, Krymskiego, Przybyszewskiego, Korczaka; informacje ustne Burcewa dla P. P. S. Fr. R.; list Brzezińskiego, Łempickiego, Szczawińskiej, Feldmannowej, Połonieckiego, J. St. z Paryża, Szustrowej, Dra Chrostowskiego, Belmonta, Landego, Nałkowskiej, J. M.

Co do rozprawy z 18 grudnia b. r., to odroczenie nie da się uniknąć, bo Brzozowski jest chory i stan jego nie pozwala na tę podróż. Do ogólnego stanu chorobowego (gruźlica, połączonej z gorączką od kilku tygodni) przyłączyła się jeszcze próchnica nogi. Chcę dziś pomówić z Dr. Diamandem w tym kierunku, czy rozprawę już teraz odroczyć, czy dopiero przy rozprawie, bo to chyba nie ulega wątpliwości, że w nieobecności Brzozowskiego sprawy sądzić nie można.

Chcę też zaproponować Diamandowi, by — o ile to uważa za potrzebne — dał zbadać stan Brzozowskiego przez lekarza w Florencji, lub też na nasz koszt wysłał lekarza tutejszego. O ilebyście Wy chcieli i mogli podjąć się tej misji — byłbym bardzo rad, bo jesteście sędzią i lekarzem.

Serdecznie Was pozdrawiam (—) Buber.

List St. Brzozowskiego z dnia 29.XI.09:

29 listopada 1909. Poggio Imperiale 4, Florencja.

Wielmożny Panie! Dowiaduję się, że w pismach warszawskich ukazała się wiadomość o wznowieniu rozprawy Sądu w mojej sprawie w dniu 18 grudnia. 24 b. m. wysłałem na ręce pp. Edmunda Szalita i dr. Rafała Bubera list do Sądu z prośbą o niewyznaczanie terminu, gdyż ze względu na ciężką chorobę przyjechać absolutnie nie mogę. Dla uniknięcia nieporozumień i zwłoki, po otrzymaniu wiadomości o notatce w pismach pośpieszam pod adresem Wgo Pana wysłać raz jeszcze zawiadomienie, że przyjazd w ciągu najbliższych tygodni jest dla mnie fizyczną niemożliwością. Nie jestem w stanie oznaczyć terminu — gdy poprawa w zdrowiu pozwoli mi być znowu jak dotąd do dyspozycji Sądu. Oprócz choroby płucnej — walczę z inną, która może skończyć się poważną i groźną operacją, — dlatego też nie mogę nic powiedzieć, kiedy siły pozwolą mi znów na odbycie drogi i obecność na rozprawie. Wysyłam list ten, nie czekając na urze-

dowe zawiadomienie o zwołaniu Sądu, gdyż nie chciałbym, aby wiadomość o tem, że nie przyjadę, przyszła zbyt późno. Z poważaniem (—) Stanisław Brzozowski.

Żądanie St. Brzozowskiego musiał Sąd uwzględnić, termin sądu odroczono. Śmierć Stanisława Brzozowskiego położyła kres jego fizycznym i moralnym cierpieniom i uniemożliwiła zarazem dalsze obrady Sądu i wydanie orzeczenia. Sąd współczesnych o sprawie nie uzyskał jednolitego wyrazu.

*

Na tem zmuszony jestem zakończyć druk dokumentów, gdyż mimo usilnych starań nie mogłem uzyskać innych aktów; może posiadacze tych dokumentów zechcą tę pracę uzupełnić, by umożliwić wszystkim wyrobienie sobie własnego sądu.

Usilnem mem staraniem było, by żmudna i obiektywna praca przyczyniła się do wykrycia prawdy — i dlatego zwróciłem się do wszystkich osób, które mogłyby dopełnić obraz, dorzucić ważne akty. Zwróciłem się w pierwszym rzędzie do p. Jędrzeja Moraczewskiego, do p. Szalitowej, do wdowy po Drze R. Buberze z prośbą o użyczenie aktów; następnie do p. L. Wasilewskiego, prof. Klingera, do wdowy po przewodniczącym Sądzie Drze H. Diamandzie, zaś w sprawie pierwszego listu T. Micińskiego — do pp. Artura Górskiego i prof. Czesława Latawca; ponadto starałem się pośrednio uzyskać dalsze materiały od wdowy po Stanisławie Brzozowskim.

Aktów żadnych nie zdołałem uzyskać, miałem jedynie możność, dzięki uprzejmości p. Leona Wasilewskiego, przejrzeć w listopadzie b. r. w jego biurze przesłane na jego ręce przez p. H. Diamandową maszynowe odpisy protokołów Sądu z okresu od dnia 14.2 do 20.2.09; protokoły te zostały już poprzednio wydrukowane w całości w **Drodze**.

Korzystając w swoim czasie z chwilowego pobytu w Krakowie p. K. Radka, zapytałem go, czy władze bolszewickie nie posiadają żadnych aktów dotyczących sprawy St. Brzozowskiego. P. Radek oświadczył, iż sprawą tą się interesowano, jednak do tąd żądanych aktów nie znaleziono mimo poszukiwań.

Zdaję sobie sprawę z tego, iż nieodnalezienie aktów, które wedle zeznań Bakaja miały stanowić spory tom, nie rozstrzyga sprawy; wszak gen. Gerasimow, b. szef ochrony petersburskiej, w swych wspomnieniach p. t. **Carat a teroryzm** twierdzi, że „nie wszyscy jego prowokatorzy zostali zdemaskowani podczas rewolucji 1917 r. (lutowej i październikowej), albowiem archiwum ochrony petersburskiej zostało podczas rewolucji zniszczone i dokumentów żadnych nie zostało“.

Zdanie ujęte w cudzysłów podaję nie z oryginału, którego nie czytałem, lecz z artykułu K. Czapińskiego w **Robotniku** z dnia 17.I.1935 r.

W tym stanie rzeczy zwróciłem się listownie do W. Burcewa, przebywającego w Paryżu, o informacje — w szczególności w sprawie notatników Bakaja. Odpowiedź Burcewa (Paryż, 21.8.1935 r.) podaję w tłumaczeniu z rosyjskiego:

„List Wasz w sprawie Brzozowskiego otrzymałem i chętnie Wam służę. Mam nadzieję, że sprawą tą będą się u Was zajmować teraz spokojniej niż dawniej.

Papiery moje, odnoszące się do lat 1909 — 1910 znajdują się wszystkie w Petersburgu i tylko coś-niecoś poza Paryżem, zagranicą, gdzie mogą być nie wcześniej jak za dwa miesiące. O ile pamiętam, nie zostały u mnie żadne notatniki Bakaja; wątpliwe zresztą, czy byłyby Wam potrzebne.

Rola Bakaja była rolą świadka. Na Wasze wezwanie przyjechał do Krakowa. W komisji w obecności Brzozowskiego powiedział wszystko, co wiedział w jego sprawie. Waszą rzeczą było wyciągnąć wnioski z jego zeznań.

Moją rolą było złożyć zeznanie o osobie Bakaja. Złożyłem je — znowuż w obecności Brzozowskiego. Przeszło tyle lat, ujawnione zostały wszystkie archiwa departamentu policji i z całą dokładnością stwierdzono zupełną szczerość Bakaja we wszystkich jego zeznaniach. Dodam, że Bakaj jest teraz dość znanym inżynierem francuskim, przyjeżdża niekiedy do Paryża i kilka lat temu, gdy go spotkałem, powtórzył wszystko co wiedział w sprawie Brzozowskiego. Jego szczerość nie podlega żadnej wątpliwości.

Te ostatnie wiadomości o Bakaju komunikowałem już polskiej prasie i między innymi przytoczyłem rozmowę swoją w latach 1916 — 1917 z Petersonem. Peterson — ze zrozumiałych powodów — nie chciał podtrzymywać mego wywiadu o Brzozowskim, lecz nie przeczył, że Bakaj dał wogóle prawdziwe wiadomości. A o Brzozowskim powiedział: „To był ciekawy rozmówca (sobiesiednik)“.

Bardzo Was proszę o utrzymywanie mnie w toku Waszych badań nad Brzozowskim. W moich pamiętnikach jest rozdział, w którym mówię o nim“.

Do listu załączył Burcew swą fotografię z własnoręcznym napisem: „Pozdrowienie wszystkim tym, którzy jak ja szukają we wszystkich sprawach prawdy i tylko prawdy“.

Pragnę, by moja praca ułatwiła zadanie tym, którzy szukają tylko prawdy.

*

Wszystkie przechowane przeze mnie akta, dotyczące sprawy St. Brzozowskiego, przesłałem na adres p. Leona Wasilewskiego celem włączenia do archiwum P. P. S. W zbiorze przesłanych aktów znajduje się również broszura, dotycząca dawniejszego okresu życia St. Brzozowskiego i nie uwzględniona w mej pracy.

Z ŻYCIA ZAGRANICY

LITERATURA DZISIEJSZA I STOWARZYSZENIA LITERACKIE NA WĘGRZECH

Losy narodu węgierskiego były zawsze ciężkie. Przez wieki walczone z Turkami, z Niemcami, walczyć musiano nawet z własnymi królami o poszanowanie praw narodowych. Niekiedy naród zmuszony był wyganiać djabła Belzebubem, a więc dążyć do tego, żeby wrogów przeciwstawić jednego drugiemu i w taki sposób utrzymać się przy życiu. Krótko mówiąc, staliśmy ciągle wobec zagadnienia: być, czy nie być?

W takich warunkach również i literatura węgierska, jako odgłos nurtujących w narodzie nastrojów, musiała się zajmować temi samemi kwestjami bytu narodowego, a przez to samo musiała się stać narodowa. Poeci, powieściopisarze, estetycy, wszyscy bez wyjątku pracowali w tym samym kierunku bez względu na to, czy byli konserwatystami, czy też postępowcami. Cel był ten sam: takimi lub innemi środkami podnieść i zahartować ducha narodowego. Literatami byli także wyłącznie Węgrzy lub tacy, którzy, jakkolwiek obcego pochodzenia, w ciągu pokoleń złączyli się z Węgrami, mając w sobie, w przeważnej ilości takich wypadków, również i krew węgierską i stali się prawdziwymi Węgrami w duchu, w języku i w uczuciach. W dziewiątym dziesięcioleciu XIX wieku jeszcze niepodzielnie panował w poezji duch Petőfi'ego i Aranya, w powieści jeszcze żyjący Jókai i inni, a nowa szkoła, do której należeli Jan Vajda, Juljusz Reviczky, Juljusz Rudnyánszky, w prozie: Gárdonyi, Zygmunt Justh, Bársony lub Ambrus i inni, jedynie estetycznemi poglądami różniła się od tamtych.

W ostatniem dziesięcioleciu tegoż XIX-go wieku, kiedy w Krakowie powstał ruch Młodej Polski, i w węgierskiej literaturze nastąpiła przełomowa zmiana. Pod wpływem zagranicznym, przeważnie francuskim, pojawił się naturalizm w literaturze węgierskiej z Aleksandrem Brody na czele, mający wielu naśladowców, jak Franciszek Molnár, Tomasz Kóbor, Ludwik Biró, Eugenjusz Heltai, Renée Erdős, Małgorzata Kaffka i inni. Zjawia się u nich upadek dotychczas pielęgnowanej moralności i z francuskiej literatury już znana dekadencja. Wywołuje to niechęć w społeczeństwie, zwłaszcza że nowy kierunek, idąc za hasłem „sztuka dla sztuki“, zrywa z dotychczasowym kierunkiem narodowym. Społeczeństwo i — żeby się tak wyrazić — prawica literacka przypisuje to nie powszechnemu prądowi światowemu, lub ściślej mówiąc: europejskiemu, z którego właśnie pochodzi, lecz temu, że wszyscy ci wyżej wymienieni pisarze, z wyjątkiem Małgorzaty Kaffki, są Żydami. Dlatego też lekceważono sobie tę nową literaturę i biernie się wobec niej zachowywano.

Tymczasem grupa się rozmnażała, przyciągała ku sobie pierwszorzędne talenty z pomiędzy rodowitych Węgrów. Przyłączali się do niej ekspresjonści, futuryści i, jak to u nas

mówiono, różne „izmy“, które pod ogólną nazwą Holnaposok (poeci jutra) polecały się publiczności. W pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku już się mogli zdobyć na wydawanie osobnego pisma pod tytułem Nyugat (Zachód). Już tytuł pisma głosił, że około niego grupujący się pisarze nie chcą mieć nic wspólnego ze wschodem i ze wschodem wywodzącym się narodem. Przed nimi stały wzory zachodnie i uprawiali sztukę dla sztuki. Społeczeństwo i pisarze dawnych tradycji spoglądali na to ze świętem oburzeniem, ale nie przeciwdziałali temu, nie umiając znaleźć żadnej rady.

Ówczesny liberalizm sprzyjał nowym prądom. Jedni skwapliwie czytali nowe utwory, uważając je za swoje, drudzy — ponieważ swobodniejsza forma i wolna treść odpowiadała ich nastrojom. Uznano je powszechnie dopiero wówczas, gdy do grupy przyłączyły się takie talenty, jak Andrzej Ady, z prastarej węgierskiej szlachty pochodzący, niezwyklej miary poeta, i jego druhowie, jak Gabryel Oláh, Michał Babits i inni. Ady coprawda najpierw szukał schronienia u przedstawiciela dawnych tradycji i dopiero, kiedy Eugenjusz Rakósi, redaktor dziennika Budapesti Hirlap bardzo zimno go odprawił, przystąpił do grupy zachodu.

Cała grupa pracowała beznarodowo, niektórzy członkowie wprost przeciwnarodowo, szydząc ze starych tradycji i z ówczesnego życia węgierskiego. Znaczną częścią tego życia były i są nasze historyczne wyznania, a w pierwszym rzędzie religja katolicka, jako religja przeważnej części narodu. Dostało się więc i katolicyzmowi, zwłaszcza gdy bezpośrednio przed wojną niemal cała prasa znalazła się w rękach obcych, i wówczas literatura i publicystyka, idąc ramię w ramię, zwalczały wszystkie tak zwane przesady narodowe i religijne. Jedynym właśnie, którego serce bolało nad upadkiem kraju, był Ady, lecz bólowi temu dawał wyraz w tak czarnych barwach, że wyglądało to raczej jako nienawiść do życia narodowego. Zdawało się rzeczą niewątpliwą, że lewica już nieodwołalnie i bezpowrotnie zwyciężyła. Pisma kierunku katolickiego, jak A Cél lub Élet, czy też dziennik Alkotmány nie miały żadnego znaczenia, można je było spotkać jeszcze tylko gdzieś na plebanjach — obok innych liberalnych druków. A nawet i do pisma perjodycznego Élet (Życie), przedostali się też lewicowcy, bo wśród młodych brak było dostatecznej ilości pisarzy takich, którzy zapełniliby szpalty pisma o kierunku narodowym i religijnym, redagowanego przez świeckich.

Taki stan rzeczy, naturalnie, nie podobał się czynnikom katolickim, to też wywołał potężną reakcję. Zwiastunami jej byli trzej ludzkie wielkiego talentu, ruchliwości i hartu bojowego. Pierwszym był O. Ludwik Tomcsányi, jezuita. Głęboki myśliciel i nieprzejednany dogmatyk. Jego filozoficzna dusza coprawda dotarła tylko do najwyższych szczytów inteligencji katolickiej, ale właśnie tutaj przygotowała drogę nowemu apostołowi Węgier, którym był ks. biskup Ottokar Prohászka. Był on synem Czecha, oficera, wysłanego przez władze austriackie po upadku powstania narodowego w r. 1849 w tym celu, aby wraz z innymi, podobnymi sobie, gnębić naród węgierski. Ojciec pozostał na Węgrzech i po przywróceniu węgierskiej Konstytucji w r. 1867. Mały Ottokar wychowywał się w Nitrze i w Ostrzyhomiu. Chociaż później przebywał w Rzymie przez siedem lat, kończąc tam studia teologiczne, przez obcowanie z Węgrami i przez poznanie ich stał się prawdziwym Węgrem i zagorzałym patryotą węgierskim. Ze zaś był gorliwym katolikiem i księdzem głęboko uczonym, znakomitym kaznodzieją i pisarzem, niestrudzonym działaczem z głębokiem poczuciem socjalnem, jako profesorowi teologii i później biskupowi w Székesfehérvár udało mu się wzbudzić zainteresowanie szerokich sfer węgierskiej inteligencji dla spraw religijnych i narodowych. W tej ostatniej dziedzinie, naturalnie, wspierali go także i politycy narodowi, chociaż pozornie nie wspólnego nie mieli z nim i chadzali swojemi odrębnymi drogami.

Praca jego tak przygotowała glebę, że pozostała już tylko praca organizacyjna, i ta jednak nie mniej trudna. Wykonał ją także jezuita, O. dr. Béla Bangha. Przed dwudziestu laty założył miesięcznik *Magyar Kultúra*, a później wydawał broszury perjodyczne pod tyt. *Sajtó (Prasa)*, w których głosił potrzebę świeckiej, od wszelkiego namaszczenia wolnej, prasy o kierunku religijnym i narodowym. Głosił, że nie powinno się krępować pisarzy w wybieraniu form i wolnem wypowiedzianiu się o wszystkim. Forma i temat są obojętne, byle treść i duch odpowiadał zasadom Chrystusowym. Wielkim wysiłkom jego i sile agitacyjnej udało się pod koniec wojny zebrać miljonowe fundusze na założenie Centralnego Przedsiębiorstwa Prasowego, które po wojnie założyło dwa dzienniki ogólne, jeden ludowy i jeden tygodnik literacki. Oprócz tego na prowincji powstał cały szereg różnych pism, które w tym samym duchu pracują, zaś secesjoniści z powyżej wspomnianych pism założyli w Budapeszcie nowy dziennik ogólnochrześcijański p. t. *Magyarság*. Cecylja Tormay, popularna literatka, chcąc stworzyć przeciwwagę miesięcznika *Nyugat*, założyła także miesięcznik *Napkelet (Wschód)*.

Wszystkie te przygotowania z jednej i drugiej strony doprowadziły do istoty literatury dzisiejszej, która mieści w sobie wszystkie kierunki, jakie tylko znajdują się w literaturach zachodnich. Najskrajniejsze skrzydło z lewej strony przedstawia Ludwik Kassák, malarz i literat. Najpierw reprezentant ekspresjonizmu, później dadaizmu, ostatnio konstruktywizmu. Dla szerzenia swoich idei redagował własne pismo: *A Tett (Czyn)*, które w r. 1916 było przez rząd zakazane za propagandę przeciwwojenną. Wtedy zamiast niego założył *Ma (Dzisiaj)*. Pismo to do r. 1919 wychodziło w Budapeszcie, potem zaś w Wiedniu, lecz kiedy zabroniono go i w państwach sukcesyjnych, zmienił tytuł na *Kortárs (Współczesnik)*. W r. 1925 ostatecznie przestało wychodzić z braku zainteresowania. Najnowsza jego powieść, *jak Napok (Dnie)* i *Megnöttek és elindultak (Wyrośli i poszli w drogę)*, są naturalistycznymi opisami życia proletariackiego, co znaczy, że ekspresjonizm i futuryzm skończył się u nas.

Poezję proletariacką zapoczątkował na Węgrzech Aleksander Csizmadia, wyrobnik, później jeden z przywódców i organizatorów socjalizmu na wsi. Jego lira była jeszcze prymitywna i prosta. W okresie komunizmu zniechęcił się do wszystkich spraw politycznych i jakkolwiek po wojnie wybrano go na posła do parlamentu, schronił się do swojej wiejskiej chałupy i niedawno, niemal w zapomnieniu, zmarł. Wszechstronny genjusz Ady'ego objął po nim i ten kierunek i w sposób wysoko literacki dał wyraz pragnieniom i dążeniom proletariackim. Dzisiaj Eugenja Várnai daje prawdziwy i poetycki wyraz tym samym uczuciom. Z chłopów — Paweł Szabó, prosty małorolnik, wyrósł na literata i jego powieści barwnie malują położenie i dążenie chłopstwa. Naturalnie, podobnymi tematami zajmują się także i inni, wyższe wykształcenie posiadający literaci.

Swoisty kierunek przedstawia w literaturze węgierskiej turanizm. Niektórzy poeci, jak *Árpád Zempléni*, odwrócili się od zachodu i głosili, że naród węgierski jest najdalej na zachód wysuniętym szczerem azjatyckim. Dlatego też trzeba nawiązać żywsze, niż dotąd, stosunki z licznymi plemionami turańskimi. W tym celu nawet założyli towarzystwo turańskie. Nie znalazło to wielkiego odgłosu, chociaż niechęć ku zachodowi, która powstała po traktacie triańskim, spotęgowała ruch turanizmu. Po śmierci Abdora Kozma i Kolomana Harsanyi kierunek ten nie posiadał już wybitniejszych osobistości w literaturze. Zakres pracy towarzystwa przeważnie ogranicza się do naukowego badania sprawy.

Prawdziwa walka literacka w dalszym ciągu toczy się pomiędzy grupą *Nyugatu* a tak zwanymi narodowcami. Umyślnie mówię, że „tak zwanymi“, bo chociaż z pewnemi poczynaniami niektórych członków owej grupy niezawsze się zgadzam, wcale nie jestem prze-

konany, żeby wszyscy oni, lub ich przeważna większość, byli gorszymi synami swojego narodu, niż my. Idą tylko innemi drogami, mając jednak ten sam cel: wzbogacić literaturę ojczystą. Grupa Nyugatu jest lepiej zorganizowana, członkowie jej głębiej odczuwają wspólność idei; ma ona takich ludzi czołowych, jak: Michał Babits, subtelny i wysoce kulturalny poeta, Zygmunt Móricz, powieściopisarz wielkiego talentu, Rena Erdős i wielu innych.

Narodowcy właśnie nie mają organizacji, bo stowarzyszenie im. Pázmány ani nie jest wyłącznie stowarzyszeniem literackim, będąc zarazem stowarzyszeniem dziennikarzy, ani nie łączy wszystkich współwyznawców, tylko nikłą część katolików. Różne pisma tego kierunku też nie podlegają wspólnemu kierownictwu. Ale właśnie to pozwala przyjąć do głosu każdemu rozwijającemu się talentowi. Wspólnota idei tkwi każdemu w duszy. Na czele ich stoi jeszcze zawsze sędziwy 70-letni Franciszek Herczeg, a za nim Mikołaj Surányi, Cecylja Tormay, Jan Komáromy i wielu młodych. A ci młodzi coraz częściej przychodzą do głosu.

Niedawno Nyugat wydał antologję swoich poetów. Było ich trzydziestu trzech. Nazwisk nie podaje, bo skoro nie oceniam tutaj ich walorów estetycznych, niechybnie nie znaczyły same przez się. Redaktor antologii, Michał Babits, wspomina, że niema między nimi ani jednego w wieku powyżej lat 40-tu. Na to recenzent ze strony przeciwnej zaznacza, że tak jest istotnie, ale też niema między nimi ani jednego poniżej 30-u lat. A w dziale recenzyjnym pism, miesięczników, czy też niedzielnych dodatków dzienników co tydzień można spostrzec zjawienie się 3, a nawet 12 nowych tomów, właśnie tych najmłodszych, piszących w kierunku narodowym. Znaczy to, że najmłodsze pokolenie przechodzi na drugą stronę.

Ci nowi wcale nie odwracają się od tendencji socjalnych i nie uprawiają salonowej literatury dworów, lecz nie uznają, że nowa literatura winna się zwracać tylko do starej, marksowskiej ideologii i pod płaszczykiem nowej literatury prowadzić starą propagandę. Utrzymują, że poeta przyszłości nie ten będzie, kto wprowadzi nowy styl, lub nowy sposób wypowiedzenia się, lecz ten, kto wiernie odtworzy powojennego człowieka i stanie się jego symbolem i ideałem.

Praca młodych dotychczas jeszcze żadnego konkretnego planu artystycznego nie wydała. Jest to zrozumiałe, bo w takie skutki może obfitować tylko kipiące życie narodu, a Węgry powojenne jeszcze nie żyją, lecz wegetują. Ta okoliczność jednak, że tak Nyugat jak i Napkelet, a więc organy starszego pokolenia z tej i z tamtej strony, w swoich materialnych podstawach się chwieją, a przynajmniej słabną, zaś Korunk Szawa (Głos dzisiejszej epoki), organ właśnie tych młodych, stale się wzmacnia i coraz bardziej rozszerza — wskazuje na to, że coś się dzieje, coś się zmienia.

W wypowiedzeniu się ci młodzi nie tylko dosięgają zewnętrznych form dawniejszego pokolenia jutra, lecz i prześcigają je nawet. Muszę się jednak przyznać, że w mojej starej głowie „na pocałunku wisząca cudowna huśtawka“ młodych tak samo się nie da umieścić, jak dawniejszych pisarzy „promień księżycy, którego woń gra na skrzypcach“. Jako obserwator tego co się dzieje i to muszę przyjąć do wiadomości, tak samo jak to, że w Polsce „płakały ręce kochane“ (Słoiński).

W ostatnich czasach przedsięwzięto pewne starania dla wyrównania lub przynajmniej złagodzenia przeciwieństw. Podjął się tego Albert Berzeviczy, prezes konserwatywnego stowarzyszenia literackiego im. Kisfaludy'ego, podając rękę Zachodowcom. Wódz tych ostatnich, następca Ady'ego, Babits, przyjął ofertę i w Nyugat wydał swoje credo, w którym świadczył się swoim patriotyzmem; — nawiasem mówiąc nigdy w ten patryo-

tyż nie wątpię. Wówczas to wybrano go na członka owego stowarzyszenia, on zaś wydał tom świętych tłumaczeń religijnych hymnów średniowiecznych. Rena Erdős przeszła na katolicyzm i w tym duchu napisała piękne listy z Rzymu. Dezyderjus Szabó, jedna z najgłośniejszych sił tego obozu, nie znalazłszy na stałe posłuchu dla swoich skrajnych idei estetyczno - literackich i społecznych, wpadł na groteskowy pomysł, mianowicie że on, syn węgierskiego pastora kalwińskiego, przyjmie narodowość swojej matki Rumunki i stanie się rumuńskim pisarzem, nawet nazwisko zmieni na Corjolan Mille. Zamiar ten przyjęto w Rumunji bardzo zimno, na Węgrzech zaś pozbawił go resztek tej wielkiej popularności, jaką po wojnie młodzież węgierska go otaczała. W ten sposób obóz ten słabnie, drugi zaś wzrasta. Zupełnego zniknięcia przeciwnieństw jednak wcalebym sobie nie życzył, bo właśnie współzawodnictwo różnych kierunków postawiło literaturę węgierską na tym wysokim poziomie, na którym się dzisiaj znajduje.

Najlepiej rozwija się na Węgrzech poezja, powieść, dramat i feljeton. Konsumentami tego ostatniego są dzienniki i tygodniki, z których każdy w każdym numerze chce podać czytelnikowi w odcinku krótką, 3 — 9-szpaltową nowelkę. Przed wojną ten rodzaj literatury osiągnął wysokiego poziomu. Po wojnie poziom ów podupadł, lecz powoli znowu się podnosi. Może te codzienne feljetyony sprawiają, że tomu nowel wcale wydać nie można.

Wielka strata spotkała literaturę węgierską, tak jak i inne dziedziny życia narodowego, w następstwie traktatu w Trianon, w którym to oderwano od Węgier prawie jedną trzecią część narodu rdzennie węgierskiego. Nowi panowie oderwanych ziem szczególnie odgradzają mieszkającą tam ludność od reszty narodu i nawet książki modlitewnej nie można przewieźć z Węgier na terytorjum żadnego z zaborów. A masy ludności żądają pokarmu duchowego. Dlatego też pod zaborami wszędzie powstała inna, własna literatura węgierska. Największy jest zabór rumuński, mieszka tam zgórą dwa miliony Węgrów. To też tam powstała najpotężniejsza literatura zagraniczna. Kolozsvár, Nagyvárád, Szatmár, Marosvásárhely już i przed wojną skupiały pewną liczbę literatów. Ady w Nagyvárád rozpoczął swoją pracę reformatorską. Niedobitki tamtych czasów po oderwaniu tego kraju od Węgier zrzeszały się, przyciągały nowych pracowników do siebie i w ten sposób wyrosła tam literatura, nie ustępująca wcale literaturze niepodległych Węgier. Z charakterystyki, którą dr. Stanisław Pazurkiewicz podaje o niektórych literatach siedmiogrodzkich w swojej pracy o współczesnej literaturze węgierskiej, można się dowiedzieć, jak kipi tam życie węgierskie. Nawet w niepodległej Ojczyźnie nie mamy większych talentów, jak Aleksander Reményik, Irena Gulácsy, Marja Berde, Aron Tamási i inni.

Pod zaborem czeskim, na Górnych Węgrzech, gdzie Węgrów jest ponad milion i stanowią jedną trzecią część mieszkańców tego zaboru, dzieje się to samo, tylko w mniejszych rozmiarach. Czołową postacią tamtejszej literatury węgierskiej jest Władysław Mécs. Ośrodkami życia węgierskiego: Pozsony i Kassa. Pod zaborem serbskim literatura węgierska przedstawia się o wiele skromniej, niż pod dwoma wyżej wymienionymi, i skupia się w mieście Szabadka. Tłumaczy to ta okoliczność, że mieszka tam tylko pół miliona Węgrów, którzy już ze względu na to nie mogą wytworzyć i utrzymać poważniejszej literatury. Pod zabór austriacki dostało się tylko około 30 tysięcy Węgrów, więc i ci nie mają żadnej literatury. Są jednak w najlepszym położeniu, bo władze austriackie nie stawiają żadnej przeszkody w nabywaniu przez tamtejszą węgierską ludność dzieł literatury węgierskiej. Literatura węgierska pod zaborami służy celom narodowym, podtrzymuje ducha węgierskiego, czy to przedstawiając dawną przeszłość, jak nowsze powieści Ireny Gulácsy, czy też artystycznie wyrażając dzisiejsze uczucia, jak Mécs i inni.

Różne stowarzyszenia literackie dają możność zbiorowego wystąpienia pewnych kierunków i zabezpieczają autorytet swoich członków. Najdawniejszym stowarzyszeniem dla popierania literatury jest właśnie Węgierska Akademia Nauki. Założona w r. 1825, w celu rozwijania języka węgierskiego, dzisiaj pracuje już raczej naukowo, ustanawiając zasady ortografii i dając różne wskazówki teoretyczne, lecz dawniej czynnie współdziałała w rozwoju literatury, wydając własnym kosztem prace beletrystyczne i przyznając nagrody literackie. Początkowo bowiem Akademia otrzymywała liczne dary i zapisy na te cele, które według zamiaru ofiarodawcy zużytkowywała jednorazowo lub też utrzymywała fundację i corocznie tylko odsetki oddawała na wyznaczony cel. W nowszych czasach wydawnictwem zajmują się firmy prywatne, fundacje zaś zniszczyła powojenna inflacja. Tak więc Akademia tylko moralnie wynagradza zasłużonych pisarzy, nadając im członkostwo. Literatów można wybierać tylko do pierwszej klasy, bo II-ga zajmuje się naukami filozoficznymi, społecznymi i historycznymi, III-a zaś matematycznymi i przyrodniczymi. A ponieważ do pierwszej klasy wybierają także lingwistów, estetyków i historyków literatury, zaś wszystkich ustalonych miejsc członkowskich jest w tej klasie tylko 16 zwyczajnych i 40 korespondencyjnych, jest to odznaczenie rzadkie i wysoko cenione.

Z kolei drugie stowarzyszenie literackie poświęcone jest pamięci sławnego literata z początku XIX wieku, Karola Kisfaludy. Po śmierci jego, która nastąpiła w roku 1830, przyjaciele w liczbie dziesięciu, z ówczesnym największym poetą węgierskim Michałem Vörösmarty na czele, zrzeszyli się dla wydania prac zmarłego i dla postawienia mu pomnika. Zadanie swoje spełnili w ciągu jednego roku. Ze składek pozostało 4,475 guldenów, Komitet tedy przekształcił się na stowarzyszenie literackie im. Kisfaludy'ego, wybierając nowych członków. Stowarzyszenie uchwaliło, że z funduszków swoich będzie wyznaczało nagrody literackie, wydawało prace oryginalne i tłumaczenia najlepszych prac zagranicznych. Istotnie też wydało wiele prac estetycznych i literackich, między innymi prace Szekspira i Moljera w tłumaczeniu, zbiór poezji ludowych i t. d. Dzisiaj posiada organizację akademii literackiej, ustaloną jeszcze w r. 1879, do której wchodzi 50 członków zwyczajnych i 20 korespondencyjnych. Oprócz tego ma kilku członków honorowych. Walne zgromadzenia towarzystwa, które odbywają się w rocznicę urodzin Karola Kisfaludy, dnia 6 lutego, a także miesięczne posiedzenia są zawsze licznie odwiedzane. Stowarzyszenie to za pośrednictwem wydawnictw i posiedzeń wywiera wielki wpływ na publiczność, uszlachetnia smak estetyczny i zachęca do czytania prac literackich. Prezesem stowarzyszenia jest obecnie, jak to już wspominałem, Albert Berzeviczy, sekretarzem generalnym zaś Géza Vojnovich, teraźniejszy dyrektor Teatru Narodowego.

Stowarzyszenie Kisfaludy'ego, zwłaszcza podczas prezesury Pawła Gyulai, w latach od 1879 do 1899 i już przedtem, pod wpływem krytycznego młota tegoż Gyulaia, do pewnego stopnia skostniało, nie uznawało żadnych nowszych prądów estetycznych i literackich. Te jednak rosły i znalazły drogę do publiczności. Rosła też liczba literatów, którzy w ramach stowarzyszenia nie mogli sobie wywalczyć miejsca. Więc dla złamania dogmatyzmu Gyulai'a założyli w r. 1876 nowe stowarzyszenie oparte również na organizacji akademii. Członków zwyczajnych ma ono 60. Zadaniem stowarzyszenia jest pielęgnowanie kultu największego naszego liryka, Petőfi'ego, i szerzenie literatury węgierskiej. Dlatego też takich obcokrajowców, którzy położyli zasługi przez tłumaczenie prac Petőfi'ego, czy też szerzenie jego kultu w rozprawach estetycznych, wybierają na członków zewnętrznych. Liczba ich nie jest ograniczona. Pierwszym takim członkiem z Polski był ś. p. Antoni Lange. Teraz są członkami pp. prof. dr. Marjan Zdziechowski, Adam Kozłowski i prof. dr. Jan Dąbrowski. Zadanie swoje stowarzyszenie spełnia przez posiedzenia, w czasie których

członkowie odczytują swoje utwory estetyczne, belletrystyczne i poetyckie. Każdy nowy członek obowiązany jest poświęcić wspomnienie temu zmarłemu członkowi, na którego miejsce został wybrany. Mowę pośmiertną ku pamięci zmarłych członków zewnętrznych wygłasza któryś z członków obeznany z działalnością zmarłego lub też gość. Dawniej i to stowarzyszenie wydawało własne pismo i roczniki. Wojna zniszczyła doszczętnie podstawy materialne stowarzyszenia, więc wydawnictwa przestały wychodzić, lecz od 1926 r. chociaż nieregularnie, znowu wychodzą roczniki. Stowarzyszenie literackie im. Petöfi'ego w Budapeszcie utrzymuje tak zwany dom Petöfi'ego, ze wszystkimi relikwiami, jakie się udało zebrać, w miasteczku Kiskőrös zaś nabyło i utrzymuje ten domek, w którym urodził się wielki poeta, a właściwie, w którym mieszkali jego rodzice podczas urodzenia naszego wieszka, on bowiem prawdopodobnie urodził się w drodze, gdy rodzice wracali z jarmarku. Pierwszym prezesem stowarzyszenia był Maurycy Jókai, teraz jest nim Juliusz Pekár. Stowarzyszenia te pracują przeważnie w stolicy państwa i rzadko udają się na prowincję z odczytami. Dlatego w większych prowincjonalnych miastach zakładają miejscowe stowarzyszenia literackie, chrzcząc je imieniem jakiegoś sławniejszego literata, który się w danej miejscowości urodził, lub przez dłuższy czas tam pracował. Tak w Szeged pracuje już dawno stowarzyszenie im. Andrzeja Dugonich, w Nagykőrös im. Aranya i t. d. Pracują one luzem, każde dla siebie.

Ażeby wejść w kontakt z temi licznymi prowincjonalnymi stowarzyszeniami i urządzać wieczorki literackie, nawet w takich miejscowościach, gdzie żadne podobne organizacje nie istnieją, literaci budapeszteńscy, przeważnie profesorowie i nauczyciele, po śmierci popularnego powieściopisarza Gézy Gárdonyi'ego założyli krajowe stowarzyszenie literackie im. Gárdonyi'ego. Organizacja taka sama, jak poprzednich stowarzyszeń, tylko że poza członkami zwyczajnymi wybierają także członków nadzwyczajnych, którym to członkostwo służy za przedszkole. Członków zwyczajnych jest 100, liczba nadzwyczajnych, którzy mogą zjawić się przy stole odczytowym stowarzyszenia, ale innych praw nie mają, nie jest ograniczona. I tych i tamtych wybiera na polecenie dwóch zwyczajnych członków — zjazd członków zwyczajnych. Członkowie polecający muszą przedstawić całą dotychczasową działalność literacką polecanego tak samo, jak w poprzednio wymienionych towarzystwach. Stowarzyszenie chętnie przyciąga do siebie literatów, pracujących na prowincji. Przy takiej liczbie członków stowarzyszenie stoi artystycznie i literacko na takim wysokim poziomie, jak dwa poprzednie, lecz jest bardzo ruchliwe i w ciągu dziesięciu lat działalności zdobyło wielką popularność. Wieczorki jego w Budapeszcie mają zazwyczaj większe audytorjum, niż wieczory poprzednich stowarzyszeń, na prowincji zaś stanowią długopomne wydarzenia. Zdaje się, że temu można przypisywać, iż członkostwo w tem towarzystwie chętnie przyjmują i członkowie poprzednich dwóch stowarzyszeń i uważają je sobie za zaszczyt. Towarzystwo, które chce być łącznikiem pomiędzy stolicą a prowincją, utrzymuje, chociaż rzadko, stosunki i z literaturami obcemi przez urządzenie wieczorków z przedstawieniem dzieł z danej literatury. Dotychczas urządzono dwa takie wieczory a mianowicie: francuski i polski. Prezesem Towarzystwa jest literat mniejszej wagi, lecz świetny organizator: Ludwik Simon.

Dla utrzymania stosunków z obcemi literaturami jest jednak osobne stowarzyszenie, im. La Fontaine. Organizacja taka sama, jak innych stowarzyszeń literackich, nawet we francuskich drukach nazywa siebie „L'Academie La Fontaine“. Członkowie rekrutują się z takich literatów, którzy zajmują się również i tłumaczeniem dzieł obcych. Towarzystwo liczy ośmdziesięciu członków. Wieczorki i poranki stowarzyszenia są bardzo popularne. Odbywają się w sali Akademii Naukowej lub też w koncertowej sali głównej szko-

ły muzycznej. Wstęp do tych ostatnich jest nawet płatny. Na tych wieczorkach bywają nie tylko wygłaszane rozprawy o różnych literaturach po węgiersku i odczytywane utwory poetyckie i nowelki w tłumaczeniu, lecz odbywają się i odczyty w różnych językach, o ile języki te są chociaż trochę rozpowszechnione na Węgrzech, a ponadto grają i śpiewają kompozycje danego narodu. Obok francuskich, włoskich, angielskich, niemieckich wieczorów, urządziło stowarzyszenie już także i wieczór polski. Prezesem jest prof. Uniwersytetu, dr. Jan Csengeri, znakomity klasyk-filolog.

W tej dziedzinie pracuje także stowarzyszenie literackie im. Jana Vajdy (Vajda Janos Irodalmi Társaság). Założyli je w najnowszych czasach pisarze, należący przeważnie do grupy Nyugat. Jak już poprzednio zaznaczyłem, utrzymują oni ścisły kontakt z pewnymi kierunkami zachodnimi. Nic dziwnego więc, że dążą także do tego, żeby zaznajomić publiczność węgierską z literaturami zachodnimi. Od tego już tylko krok, by rozszerzyć tę działalność na wszystkie inne literatury. Stowarzyszenie w ciągu paru lat swego istnienia urządziło około 100 wieczorków, między nimi sporo poświęconych obcym literaturom. Na przyszły sezon zimowy z dziesięciu wieczorków, sześć mają wypełnić obce literatury, a mianowicie: belgijska, holenderska, polska, szwajcarska, szwedzka i turecka. Prezesem stowarzyszenia jest Aurel Kárpáti.

Jak z tego zestawienia widać, stowarzyszenia literackie na Węgrzech służą przeważnie popularyzowaniu literatury, szerzeniu smaku estetycznego i tylko pośrednio przyczyniają się do naprawy położenia socjalnego autorów. Rozglądając się dalej po zrzeszeniach innego charakteru, znajdziemy potwierdzenie tego samego faktu. Penclub nasz jest boiskiem, gdzie ścierają się poglądy narodowców i zachodowców, to jedni to drudzy występują z niego. Ponieważ jednak ani jedna, ani druga grupa nie chce reprezentować zagranicą całych Węgier, zawsze się kleją jakieś kompromisy, z których żadna ze stron nie jest zadowolona. Otthon, stowarzyszenie dziennikarzy i pisarzy, jest tylko rodzajem kasyna, tak samo jak Patria, które to stowarzyszenie skupia chrześcijańskich dziennikarzy, pisarzy i artystów. Tylko autorzy dramatyczni mają związek zawodowy dla obrony swoich praw autorskich. Géza Vojnovich zorganizował zrzeszenie węgierskich pisarzy (Magyar Irők Egeszülete), lecz też przeważnie dlatego, aby zbliżyć z sobą osobistości różnych poglądów, więc narazie i tutaj nie można się spodziewać ważniejszych skutków socjalnych. Józef Pakocs zabrał się do zorganizowania związku gospodarczego pisarzy węgierskich, zawiązał się był już nawet komitet organizacyjny, lecz inicjator ruchu nie miał podczas pierwszego posiedzenia niespodzianie umarł i nawet nie wiem, jakie są wytyczne myśli planowanego związku.

Wobec tego wszystkiego, położenie węgierskich pracowników pióra jest dosyć opłakane. Traktat w Trianon pozbawił ich najlepszego rynku zbytu. Wiadomo, że kresy ponoszą zawsze największe ofiary dla kultury i literatury narodowej. Na Węgrzech właśnie te kresy odpadły. Kassa, Kolozsvár, Pozsony i dziesiątki innych węgierskich miast prowincjonalnych, które konsumowały dwie trzecie, a co najmniej połowę wszystkich wydawnictw, jak już wspominałem, szczelnie są odgródzone od wszystkich źródeł kultury węgierskiej. Do tak zwanych historycznych krajów Czechosłowacji, to znaczy do Czech i na Morawy, wyjątkowo tylko wolno bez przeszkód wwozić druki węgierskie, lecz gdy księgarze dawnych północnych Węgier za pośrednictwem praskich firm nabyli takie węgierskie książki fachowe, jak „Umiejętny bartnik” lub „Doskonały stolarz”, to policja te książki skonfiskowała, a na księgarzy nałożyła wysokie kary. Nawet przewożone tylko przez terytorjum czechosłowackie druki węgierskie roznoszą zarazę. Dlatego p. Gustawowi Wolffowi odebrano gazety węgierskie, w których była wzmianka o jego przemówieniu na jubileu-

szowem posiedzeniu Związku wydawców węgierskich. P. Hilarowiczowi, profesorowi uniwersytetu warszawskiego, skonfiskowano te gazety, w których pisano, że miał on ciekawy odczyt w Budapeszcie o zasadach administracji polskiej.

Przesilenie gospodarcze całego świata naturalnie ciężko także dotknęło i pisarzy węgierskich. Fundusze stowarzyszeń literackich, z których dawano znaczne nagrody autorom dzieł znakomitszych, podczas powojennej inflacji roztopiły się, państwo i miasta zaś niemal nic nie dają na te cele. Przed wojną nie było to potrzebne wobec znacznych środków Akademii i stowarzyszeń literackich, z których tylko okruchy dzisiaj zostały, po wojnie zaś każdy grosz ma sto innych miejsc, tem więcej, że oprócz wojennych strat i różnych odszkodowań, jeszcze i państwa sukcesyjne zrzuciły nam na kark dziesiątki tysięcy urzędników i emerytów, wcale się nie troszcząc, do jakiej narodowości należą. Jeszcze i te fundusze trzeba było zmniejszyć, z których Ministerstwo Oświaty daje drobne zapomogi niezdolnym do pracy zasłużonym pisarzom.

Literaci węgierscy jednak, mimo wszystkich przeszkód i trudności, pracują dalej niezmordowanie i w ubóstwie, żeby ta literatura, którą w XVI i XVII w. Balassa, Pazmány, Mikołaj Zrinyi i inni wynieśli na wysoki poziom, w XVIII wieku Csokonai, Kazinczy, Mikes na tym poziomie utrzymali, w XIX wieku Vörösmarty, Aranyi, Petöfi, Jókai, a w XX wieku Ady, Gárdonyi, Herczeg, Mikszáth świetnie rozwinęli — i na przyszłość się utrzymała dla całych Węgier, aby stała się cenną częścią literatury europejskiej i przyczyniła się do współpracy wszystkich kulturalnych narodów.

János Tomcsányi.

K S I A Ż K I

Józef Wittlin: Powieść o cierpliwym piechurze. Sól ziemi. Powieść. Warszawa, 1936. Tow. Wyd. „Rój”, s. 343.

Mało jest książek, naturalnie polskich, których lektura nasuwałaby czytelnikowi w pierwszym rzędzie rozważania na temat sztuki pisarskiej autora. Do takich rzadkich książek należy pierwszy tom trylogii Józefa Wittlina „o cierpliwym piechurze”, zatytułowany „Sól ziemi”.

Co najpierw pobudza do zastanowienia, to niesłychana rozciągłość, jaką posiada dzisiaj forma powieści. Książka Wittlina jest jednym więcej dowodem, jak rozmaitym ujęciom formalnym służyć może t. zw. powieść. Biorąc wyłącznie najnowsze przykłady polskie — od surowej demonstracji ideologicznej Kruczkowskiego, przez cyzelatorską stylizację Iwaszkiewicza, przez wybuchy liryzmu i nieopanowania w stylu Zegadłowicza czy Kurka, to wszystko powieść, aż po utwory, które stoją na samej granicy powieści, a nie są nią jeszcze: „Droga przez wieś”. Wittlin przeto książce swojej daje również podtytuł powieść. Nie jest to jednak powieść w ścisłym znaczeniu, nie jest to nawet usystematyzowanie liryzmu w ciąg zdarzeń i osób. Najlepiej tę nowość formalną książki Wittlina widać, kiedy przymierzmy ją do porobionych przez fachowców rodzajów powieści. I to fachowców, sięgających aż po najnowszy materiał powieściowy (np. R. Petsch „Wesen und Formen der Erzählkunst”, Halle 1934). Mamy tu zgoła odrębne zastosowanie tradycyjnej formy. Rzecz Wittlina, to ciągła, na doskonałym poziomie utrzymana narracja bezpośrednia. Nie bezpośrednia w znaczeniu Ich - erzählung (czasem jednak i to się zdarza), lecz w znaczeniu ustawicznego panowania pisarza nad całością akcji. Żadna

scena, żadna osoba występująca nie zostają wyodrębnione z tej ciągłości narracyjnej, jej stałego, ironicznego, ale przepojonego wyrozumiałością zacięcia. Czy będzie to Bachmatiuk, czy Durek, czy Niewiadomski, wszystkie te postaci częściowo tylko są samodzielne, częściowo tylko wyłaniają się ze wspólnej im plazmy. Tą zaś jest stała obecność pisarza, jego dyskretnie, niemniej jednak nieustępliwe narratorstwo, tożsamość efektów pisarskich, jakie wydobywa bez względu na postać, o którą w danej chwili chodzi.

Obecność ta nakazuje książce Wittlina odlepić etykietę „powieść”. Więc cóż to? Jest to jakaś liryczna saga o człowieku, zagubionym w niezrozumiałym świecie. Nie świecie bohaterów, niezwykłych zdarzeń, w świecie jednak mocy równie nieznanymi. W świecie cesarza, co wśród innych ludzi jest królem, co zna każdego hucula swojego i każdemu wyznaczył rolę w straszliwej grze. Gdzie wchodzi w dusze i przemienia ludzi Subordynacja — słowem w świecie równie dziwnym, równie tajemniczymi węzłami powiązanym w ledwie przeczuwaną całość, jak była nią rzeczywistość dla pierwotnego opowiadacza.

Wittlin zdaje sobie sprawę, że nie rozumie tego wywoływanego przez siebie świata austriackiej wojny, że wśród innych aspektów wojny ten chyba był najgłupszy, najbardziej bezcelowy. Zbyt bezcelowy, by móc oburzać się za przykładem Barbusse’ów i Remarque’ów, by nie pozostawało tylko ironiczne zdumienie po jego zniknięciu. Pragnie jednak niezrozumienie swoje uprawdopodobnić, wybierając jako bohatera prostego hucula, Piotra Niewiadomskiego. Niewiadomski w swej niemowlęcej prostocie mógłby rzeczywiście tak właśnie przeżywać losy swoje i wojny i celowość tej głównej postaci pomysłana jest dobrze. Jednakże na każdej

bezmąla karcie książki Wittlin zdradza się z tem, że to nie Niewiadomski odczuwa, lecz on sam. Niewiadomski jest fikcją już w samej książce, jest fikcją już jako postać powieściowa. Reakcje i rzekomo proste, lecz arcywyrafinowane w swej prostocie sądy, jakie mu poeta podsuwa, są psychologicznie zupełnie nieprawdopodobne. Kiedy dowiadujemy się, że Piotr tylko pozornie dźwigał ciężary dziedzicom, pozornie usługiwał żydom, a w gruncie rzeczy wiedział, że cesarzowi służy i cesarz go czapką urzędową chroni, wiemy, że tak mógłby sądzić Wittlin, gdyby był tragarzem Niewiadomskim, lecz jest rzeczą wielce nieprawdopodobną, by Niewiadomski bez podpowiadania Wittlina mógł tak sądzić sam. Kiedy czytamy, że „Niewiadomski dobrze rozumiał, że tylko w mundurze wolno zabijać człowieka, i tylko w banderoli, w państwowem opakowaniu ciała, ważna jest śmierć za cesarza“, powtarzamy to samo. Przykładów podobnych jest mnóstwo.

Nie czynimy z tego ciągłego nieprawdopodobieństwa psychologicznego zarzutu autorowi. Idzie o co innego: o udowodnienie, że jest to narracja o sobie samym, liryczna opowieść o poecie zagubionym w tajemniczym świecie. Weźmy jeszcze jako dowód kapitalną postać Bachmatiuka. (Jeśli Remarque'a Himmelstoss miał być najwyższem osiągnięciem literackiem w dziedzinie podoficerów, uważam, że Bachmatiuk bezwzględnie go przewyższa). Otóż Bachmatiuk, ta druga — jak dotąd — reprezentacyjna postać, napisany jest podobnie. Czytamy naprzykład, że „całe godziny trwał w zachwyceniu sam na sam z duchem świętym służby. Odprawiał ciche msze przy Regulaminach, i jak każdy mistyk, znajdował najwyższą rozkosz w bezpośredniem obcowaniu z Tajemnicą“, poczem następują „mistyczne“ zachwyty Bachmatiuka nad pięknem najprostszymi rozkazów. Jest rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by jakkolwiek rzeczywisty Bachmatiuk mógł kiedykolwiek przeżywać coś podobnego. To właśnie Wittlin czyni z niego kapłana Subordynacji, tej niepojętej dla siebie mocy, i Bachmatiuk staje się zrozumiąły jedynie na tle tego stanowiska pisarza, jako wcielenie cząstki niezrozumiałych sił, władających wojną. Tak niezrozumiałych, że aż trzeba je uproszczyć w gry cesarzów, inaczej bowiem grozi szaleństwo całkowitego niezrozumienia.

Zatem opowieść o poecie zagubionym w niepojętości wojny światowej. Opowieść utrzymana na poziomie rzeczywistości wysokim. Jednolitość narracji, jej wytrzymanie na przestrzeni całej książki, świadczą o nie-

popolitej dojrzałości artystycznej utworu i pisarza. Zważmy bowiem, że w ten sposób postawione zadanie, podobne zacieśnienie się (inna rzecz, że z niedoborów wynikało) do czystej narracji jest dla pisarza dużem utrudnieniem. Wprowadzić szereg rozmaitych osób, kazać im zderzać się duchowo, wyprowadzać z tego konflikty, między wierszami czytelnikowi kazać wyczytywać uogólnienia, to ostatecznie rzecz nie-przesadnie trudna, na pewnym naturalnie poziomie, gdzie nie ma jeszcze mowy o odkrywczości psychologicznej. Lecz sprawić, by jedynie interesującą i ciągle ważną osobą był sam autor, jego umiejętności uczuciowej analizy i komentarza do zdarzeń i osób, za szkieleł powieści służących, to sprawa bezwzględnie trudniejsza. Tem trudniejsza, że przy tego rodzaju traktowaniu powieści pisarz swych niedoborów duchowych nie ma za co ukryć. Ani za t. zw. ideologję, ani za interesującą akcję. Pisarz obnaża się w tym wypadku bardziej może, niż liryk, przemawia bowiem mową do skontrolowania łatwiejszą, mniej symboliczną.

I gdybyż jeszcze Wittlin kokietował czytelnika niezwykłościami pisarskimi czy psychologicznymi! Gdybyż jeszcze był w nim ekshibicjonizm egotysty, nie umiającego poza opowieścią o sobie nic ujrzyć w świecie. Narratorstwo Wittlina jest jednak umowne, nie wykracza poza zakreślone taktem i opowaniem granice. Nie szermuje krańcowymi efektami, nie unosi się, ani oburza. Operuje na dosyć skromnej skali, ten sam uśmiech ironji i pobłażania dla wielkiej niezrozumiałości losów małego człowieka prześwieca przez całą książkę.

Pytanie jednak, czy to niewyodrębnienie postaci, ta wszechobecność pisarza nie wyniknęły z tego, że Wittlin poprostu nie umie budować postaci od swego twórcy niezależnych? Nie umie sprawić, by ludzie jego sami się charakteryzowali czynami swojemi i słowami, a nie wkładami psychicznymi Wittlina w ich dusze. Wittlin poprostu wie, co dany ruch, dane słowo mają znaczyć, co mają wyrażać, ale nie umie sprawić, by bez jego komentarza wyrażały to one. Wyprzedza on niejako osoby i sytuacje, zanim zdążyły się usamodzielnic. U podstawy zatem tego nowego zużytkowania formalnego powieści leży niewątpliwy brak artystyczny. Lecz z braku tego Wittlin umiał uczynić zastanawiającą zaletę, umiał ominąć go (nie było to łatwe, i stąd może powieść tak długo powstawała), kładąc nacisk na opowiadanie i jego nieprzerwaną ciągłość. Zabieg ten, jakkolwiek w danym wypadku dał wy-

nik artystycznie dodatni, jest jednak niepowtarzalny i ryzykowny. Taka przymusowa rezygnacja z normalnie powieściowego ujęcia akcji grozi u kogoś innego nieciekawym tasiecem gadaniny. Obawiamy się również, czy wybieg ów będzie równie skuteczny na przestrzeni całości książki, czy wkońcu nie okaże się nużący i jednostronny. „Wędrówka Joanny” jako jednotomowa próba pociągała odkrywczą artystyczną, lecz w dalszym wydaniu okazuje nieważność i powtarzanie się efektów, które pierwszy raz zastanawiające, później przestają działać z racji swej niewielkiej treści ludzkiej. Do podobnego typu książek należy „Sól ziemi” — dobra w jednej szczypcie, kto wie, czy nie zniechęci w całej grudzie. Są to książki dla czytelnika świadomego trudne. Można w nich zasmakować, ponieważ kryją niewątpliwie duże wartości pisarskie, lecz mimo to stwierdzić się musi, że są to książki niepowtarzalne. Piękne, pociągające zaułki, którymi dalej już pójść nie można.

*

Emil Zagadłowicz: *Żywot Mikołaja Srebrzypisanego. Zmory.* Kronika z zamierzchłej przeszłości. Warszawa, 1936, F. Hoesick; str. 495.

Niespodzianka, jaką sprawił Zagadłowicz czwartym tomem „Żywota Mikołaja Srebrzypisanego”, nazwanym „Zmory”, ma swoje źródło głównie w tem, że nie przywykliśmy u współczesnych pisarzy polskich do zasadniczych zmian i zwrotów. Raz ustalony w swej pozycji literackiej pisarz rzadko kiedy się u nas przemienia. Gide'ów nam brak. I oto ktoś, kto najniespodziewaniej w świecie przekreśla właściwie całą swoją przeszłość literacką i rozpoczyna odnowa. Zjawisko tak nieoczekiwane, że warto szerzej mu się przyjrzeć.

Pamiętamy je dobrze i niejeden z czytelników „Zmor” odczytał sobie zapewne teraz, za przykładem piszącego, poprzednie tomy „Żywota”. Co tu wiele mówić! Nie przesadzali złośliwcy, nazywający go „Żywotem Mikołaja Wodapisanego”. Bezcelowa rozlewność i gadanina, podłana łatwym liryzmem — oto były jego cechy. Dzisiaj zaś otrzymaliśmy książkę drapieżną, napisaną z pasją, wkraczającą w dziedziny, o których znajomość wogóle nie posądzałyśmy Zagadłowicza. Dziedziny te, to śmiało i beceremonjalnie wkroczenie na pole erotyzmu tak ludzi dorosłych, jak erotyzmu dojrzewającego chłopca. Śmiałość głównie leksykologiczna: Zagadłowicz nie zapominał o żadnym z okre-

śleń funkcji płciowych, czy narządów. Kiedy jednak dobrze zastanowić się nad tą stroną powieści, jaka początkowo wydaje się odkrywczą i zapytać, co nowego dowiadujemy się z psychologii erotyzmu, rychło przekonujemy się, że ta odkrywczność głęboko nie sięga. Jest to śmiałość tylko w zewnętrznym efekcie, śmiałość bynajmniej już dzisiaj nie przynosząca nowego aspektu rzeczywistości, po Joyce'ie, Lawrence'ie, Céline'ie, Witkiewicz, po powieściach wojennych. Pod pokrywą zewnętrznej sprośności nie ukazuje Zagadłowicz żadnych pogłębień psychologicznych, nie stara się, skoro już sięgnął w te mroczne dziedziny i na takie wyzwolenie z zewnętrznej prudencji pozwolił sobie, wyzyskać tego sięgnięcia: prawdziwej śmiałości psychologicznej tutaj brak. Jest ona, ale w całkiem innych partjach powieści, o czym dalej.

Nie chodzi o to, ażeby pisarzowi nie wolno było, skoro zechce, w podobny sposób pisać. Chodzi o cel zewnętrznej śmiałości. Rzecz w zagadnieniu prosto ale słusznie postawionem przez Witkiewicza w przedmowie do „Pożegnania jesieni”: „Odpieram zarzut, że powieść ta jest pornograficzna. Uważam, że opisanie pewnych rzeczy, o ile one dają pretekst do wypowiedzenia innych, musi być dozwolone”. Niestety, nie widzimy, ażeby przeważna większość sprośności Zagadłowicza była pretekstem do rzeczy istotniejszych. Zestawienie z Witkiewiczem może to lepiej rozjaśnić: u Witkiewicza jego dziwaczny erotyzm, narkotyczne szaleństwa, nieskrępowanie słowne, to były środki z wielu innymi momentami spletające się w niespotykany obraz „metafizycznej” dekadencji i rozbicia duchowego. Otwierając antypruderyjne perspektywy, otwierał zarazem Witkiewicz możliwości dużo dalsze, wobec których właściwego sensu i proporcji nabierały zewnętrzne śmiałości powieściowe. Jeszcze w wyższym stopniu ma to miejsce u Céline'a. Okropności „Podróż do kresu nocy” są stopione w jedno z straszliwie beznadziejnym obrazem duszy pisarza. Autor równie okrutnie poniewierający światem i sobą ma prawo do podobnych środków.

W tem „i s o b a” jest wzgląd, nakazujący dużą rezerwę wobec Zagadłowicza. Skoro nakreśliło się prawie wszystkich ludzi, jako typy zboczone i zdziwaczale i skoro prawdę takiego stanowiska chce się czytelnikowi narzucić, uogólniając ją w słowach, jakimi na drogę życiową opatruje Mikołaja ojciec, nie można równocześnie bez podejrzeń ze strony czytelnika ukazywać postaci aż nieprawdopodobnych w swej ludzkości i dobroci. Sko-

ro głęboko wierzy się w zło i chamstwo człowieka, nie widzimy żadnego powodu, dlaczego inni ludzie (ojciec, matka, sam Mikołaj) mają być z tego wyłączeni. Albo, albo. Albo wszyscy są czarni, albo wszyscy są biali, nie wierzymy jednak, by wobec ludzi tak straszliwie czarnych, że każą całkowicie zwątpić w sens i wartość współżycia ludzkiego, nagle wyrastali ludzie - wzory. Drogi zatem, ażeby te „Zmory” stały się prawdopodobne, były dwie: „oczernić” samego siebie, nie wyłączać siebie z pasji analizy, z ogólnego zdzierania masek, nie czynić z siebie nietykalnego sędziego. Jeżeli zaś nie, jeżeli w samym sobie nie umie pisarz ujrzeć choć cząstki owego zła i podłości, jakie drugim podrzuca, w takim razie nie posiada on prawa do podobnej bezlitości. Pierwszy wypadek miał miejsce u Witkiewicza: nikomu nie oszczędzał on „targnięcia za bebeczy”, sam wchodził w swą strasliwą rzeczywistość. Była w tem rzetelność i sprawiedliwość, jakiej nie widzimy u Zegadłowicza. „Zmorom” przeto nie możemy przyznać wartości bezwzględnej, nie możemy na wnioski pisarza pisać się z zupełną zgodą.

By „Zmory” należycie zrozumieć, należy je ocenić ze stanowiska ewolucji pisarskiej Zegadłowicza. Tłumaczą się one tutaj dużo jaśniej, niż gdybyśmy zechcieli je brać, jako zamkniętą w sobie całość. Zegadłowicz dotychczasowy pozbawiony był trwałych wartości pisarskich. Mało kto u nas tak wiele napisał, ale też z mało kogo tak mało pozostanie. Szczególnie pozbawiony był Zegadłowicz umiejętności realistycznych, jego potop słów bardzo rzadko stykał się z rzeczywistością. Pseudoliryczny werbalizm, połączony z religijantwem w złym gatunku sprawił, że trudno było go poważnie traktować. Tymczasem pisarz nasz, jak wskazują najlepsze strony „Zmor”, posiada bardzo duże umiejętności realistycznego spojrzenia na świat. Umie obserwować, kreślić charaktery i sytuacje, słowem są w nim cechy, które wprowadzone wcześniej do twórczości kazałyby go całkiem inaczej oceniać. Prawdopodobnie zatem, być może w miarę uświadamiania sobie owych cech, Zegadłowicz dostrzegł, że dotychczasową twórczością zapędził się w ślepią ulicę. Przyszła konieczność zwrotu, porachunku z przeszłością, ukazania, kim się jest naprawdę. Porachunku tem ostrzejszego, że groziło pisarzowi całkowite zablądzenie.

To co piszemy, jest hipotezą i konstrukcją, jak każda hipoteza, zwłaszcza w odniesieniu do żyjącego pisarza, zawodną i może mylną, ale hipotezą, zgadzającą się ze znanymi nam zjawiskami. Długie ostatnio mil-

czenie powieściowe Zegadłowicza świadczyłoby, że najpewniej odbywała się ta przemiana, z jakiej wybuchnęły „Zmory”. Ich erupcja zrozumiała jest psychologicznie tylko jako porachunek. Nie rozumiemy przez porachunek prostackiego oczerniania, wyładowywania gniewu połączonego z zaślepieniem. Mam na myśli porachunek wyzwolenczy, psychoanalityczne zrzucenie z siebie kompleksów przez ich uświadomienie. Jest w powieści moment, kiedy Mikołajek, którego napastują obsesje płciowe, szuka ratunku w skrupulatnie przestrzeganych praktykach religijnych i modlitwach, łudzi się, że dobrą wolą i świadomością przemilczaniem odpędzi te sprawy od siebie. Nie udaje mu się to, tem większa później budzi się w nim gorycz. Coś podobnego stało się z Zegadłowiczem. Nie udały się próby ucieczki w kraj świątków i odpustowo-religijnych wzruszeń, zduszone postawy wybiły się ku światłu i zażądały przesadnego wyjawienia ich, surowego rozliczenia się z rzeczywistością.

„Zmory” zatem wydają się być etapem i tylko jako etap rozwojowy możemy je zrozumieć. Etap w danym wypadku przybrał i musiał przybrać formę w y s t ę p u. Pokazania, że ja tak samo umiem nakreślić, jakimi naprawdę są dusze ludzkie, że nie tylko jestem religijantem i gadatliwym lirycznym. Należało wytoczyć cały arsenał argumentów, udowadniających, że tak jest. Stąd ta erupcja pasji, stąd ten słownik, wymiatający wszystkie zakamarki brzydactwa. Stąd wreszcie niesprawiedliwość w rozniale cieni, niesprawiedliwość zrozumiała tylko u człowieka, który oskarża i którego nie stać jeszcze na wyższego rzędu obiektywizm.

Lecz ten występ i porachunek z rzeczywistością, pokazanie, że nie jest ona wcale taką, jak w dotychczasowej twórczości Zegadłowicz ją widział, stawia nas w paradoksalnej sytuacji. Rozumiejąc go psychologicznie, trudno narazie osądzić, czy jest to rzeczywistość etap i otwarcie nowej drogi, czy też może jedynie w y s t ę p, jedynie pewna forma wysokiej zemsty za zmarnowane możliwości literackie, zemsty, wypalającej pisarza jednym takim wybuchem. Jedynie przyszłość i dalsze książki Zegadłowicza mogą odpowiedzieć na to pytanie. Jak narazie, dosyć niepokojące refleksje budzi namysł, w imię czego Zegadłowicz tak ostro rozprawia się z rzeczywistością? Czytamy wprawdzie w „Zmorach”, że idzie mu o „głobowe postanowienie człowieka”, o wyrwany z zakazów i przesądów humanizm, wyzwalający człowieka pełnego i w postaci ojca Mikołaja many piękny obraz podobnego człowieka, —

mimo to pamiętając o egotyźmie Mikołaja, o tem, jak z podejrzaną troskliwością kultury on w sobie posłannictwo poety, to jedyne, co go wśród ludzi wyróżni, podejrzewamy, czy nie rozprawia się Zegadłowicz raczej w imię literata, któremu groziło zagubienie talentu i rozgłosu na fałszywie obranej (i o ile łatwiejszej — to również niepokoi) drodze, a nie w imię owego posłannictwa człowieka. Byłaby to pobudka, która nie daje jeszcze prawa do podobnej ostrości sądu. Skoro Zegadłowicz tak długo umiał zakłamywać siebie i drugih, gdzież prawo moralne do podobnie prokuratorskiej postawy? Jako autoleczniczy zabieg pisarski, jako naprostowanie talentu, które w danej chwili przybrać musiało formę ostrego występu, „Zmory” możemy zrozumieć, ale tutaj również dopiero po owocach tego zabiegu, jakie przyszłość przyniesie, będziemy mogli ocenić jego skuteczność i wartość.

W „Zmorach” są już pierwsze owoce tego zabiegu i chodzi o to, ażeby je dalej kontynuować, rezygnując z przesadnych oskarżeń i robionych okropności. Codzienne życie prowincjonalnego miasteczka, głupota ustawicznego wtrącania się w życie drugih, to wszystko („pogrzebowa” ulica) umie zrobić Zegadłowicz znakomicie. Co ważniejsze, wśród potwornej nieludzkości starego Komendy czy Wacława umie wyszukać momenty, które mimo wszystko czynią ich ludzki mi i rozumiałymi. Umie nakreślić postaci, które mimo braku zła i dziwactw, są prawdziwe i żywe, jak matka, ojciec, niektórzy nauczyciele poety. Zwłaszcza ojciec jakżeż niepodobny jest do Michała z poprzednich części „Żywota”, jakżeż nasycony jest teraz przywiązaniem i miłością. Postać doprawdy niezapomniana! — Takie pomysły, jak monolog Luizy, jak przysłówia Wilhelminy, jak c. k. lojalność dyrektora sięgają w dziedzinę prawdziwej śmiałości i odkrywczości psychologicznej. I jeśli gdzie, to tutaj właśnie, gdzie Zegadłowicz umie utrzymać się w mierze, a jednak naprawdę sięga w głąb, przekonuje on nas w zupełności. Rzecz dość nieoczekiwana: przy pozorach śmiałości niewiele od momentów naprawdę nowych stwarza, przy zachowaniu miary sytuacje i osoby prawdziwie pogłębia. Jeżeli te nowe cechy swego talentu Zegadłowicz rozszerzy, jeżeli będzie umiał na nich oprzeć swoją dalszą twórczość, zabieg ten się udał. „Zmory” okażą się etapem, od którego pisarz się wyzwolił, jak wkońcu Mikołajek od zmor swych się wyzwala. Jeżeli zaś tak się nie stanie, „Zmory” w twórczości Zegadłowicza pozostaną występm, nie popartym rzeczywistym do

nego uprawnieniem, tem, że pisarz ma rzeczy istotnie nowe do powiedzenia, w których imię musi bezwzględnie rozprawić się z przeszłością i ocalić swój talent, występm o pobudkach, jakie wydadzą się podejrzaną i zewnętrzne.

Kazimierz Wyka.

Stanisław Piętak: *A l f a b e t o c z u*. Warszawa, 1934. — *L e g e n d y d n i a i n o c y*. „Okolica Poetów”, 1935; str. 22 i 2 nb.

Do najtrudniejszych, do najmniej wdzięcznych zadań krytyka należy omawianie gatunku literackiego, który wymyka się wyrażnej kwalifikacji nie przez to, iżby był istotnie odkrywczy, lecz przez to, iż w pewnym piśmiennictwie, w danym wypadku ojczystem, gatunek ten pozbawiony jest wyrażnych precedensów, a przeto tradycji rozwojowej. Wydać się może z łatwością w wypadku podobnym powierzchownemu obserwatorowi, jakoby „nowość” taka była gwarancją głębszej odkrywczości; jeśli chodzi o Pięta

ka, bardzo uzdolnionego poetę, inteligenta w pierwszym pokoleniu, wywodzącego się z chłopów małopolskich, to przypuszczenie takie z pewnością nie jest uprawnione. Mamy tu raczej do czynienia z wypadkiem czysto indywidualnym — i przez to właśnie zawiliwym. Sam autor, oraz większość jego rówieśników, dziś już uważa go za jednego z czołowych polskich „awangardzystów”, nie licząc się z faktem, iż termin ten, ukuty na zachodzie, miał dotychczas treść pojęciową dość ściśle określoną, chociaż ulegającą stopniowym przemianom, jak każdy termin, usiłujący zdefiniować zjawisko nie historyczne, lecz żywe we współczesności. Otóż trzeba wyraźnie powiedzieć, iż pod to ustalone w przybliżeniu pojęcie awangardy w znaczeniu zachodnio - europejskiem poezji Pięta

ka podciągnąć niepodobna, chyba zapomocą sofizmów, któremi nie gardzą skądinąd, dbali o swe podwórko i uzurpowaną wyłączność, teoretycy polskiego ruchu. Chyba że za awangardę uzna się wszystko, co zerwało lub zrywa z kanonami, obowiązującymi w poprzednim dziesięcioleciu w ramach poezji oficjalnej; ale w takim razie Asnyk, tak zrelatywizowany, jest również awangardzistą swego czasu. Tu natomiast uderza zjawisko inne, bynajmniej nie przypadkowe: p r z e m i e s z a n i e s t y l ó w.

Pięta

niepowetowane spustoszenia. I nic tu nie pomoże przeświadczenie samego autora — podobnie jak w wypadku Czuchnowskiego — iż jest on „poetą bojowym”. Mamy prawo zapytać się niedyskretnie: bojowym k u c z e m u ?

Widzimy w tomie Piętaka etapy drogi, raczej jej strzępy, nie dostrzegamy natomiast jakiegokolwiek c e l u, choćby najbardziej mglistego. Pisarze chłopscy poprzedniego pokolenia z Orkanem na czele zapewne też nie byli zdrowi: przezarci niedolą swych wsi i pajęczą mgłą inteligencji; lecz wszyscy oni, a zwłaszcza Orkan, może najbardziej gorzki pisarz z okresu „Młodej Polski”, od pierwszych niemal kroków występowali na widowie nie tylko jako rzecznicy swej klasy społecznej, lecz także jako s p r a w d z a l n e i n d y w i d u a l n o ś c i. Tu natomiast mamy do czynienia z całkowitą płynnością. Nie jest to już literatura społeczna, lecz zgoła anti-społeczna. Przerost cech osobistych poety dotarł w tomie tym do rozmiarów niepokojących i szkodliwych, cówięcej, pustoszących samą jednostkę twórczą, a wraz z nią ów krąg kultury, który ma prawo, a nawet obowiązek, reprezentować i organizować. Lecz czyż może to uczynić poeta całkowicie chaotyczny? Jest to bowiem p o e z j a w i d z a ń, natrętnych halucynacji, koszmarów i wizyj. Pomimo pozorów wyrafinowania, w gruncie rzeczy jest ona wielce naiwna, by nie rzec prostacka. Wraz z takimi książkami powracamy do stadium przed-cywilizacyjnego, wraz z autorem przemierzamy mozolną drogę powrotu ku ciężkiemu i niedość w następstwie wysublimowanemu dzieciństwu, odbywamy, słowem, drogę r e g r e s j i. Tem jeno wytłumaczyć można kompleksowość tej poezji, kiedy prawdziwe przymiennictwo jest właśnie zniesieniem determinant w dziele sztuki; tem mającą wizualność poety, dla którego świat cały, rozbity na skojarzenia, jest szyfrem nie do odcyfrowania; tem wreszcie całkowite zniwelowanie wszelkich percepcyj, które przez swój nadmiar i zewnętrzną dowolność rychło obojętniały czytelnikowi. Jest to zatem materiał na poezję, nie poezja sama.

Chłop chory na kulturę, to smutne, bardzo współczesne i bardzo polskie... Film ten, rozbity na elementy składowe, bywa niekiedy sugestywny natręctwem majaków. Lecz przedmiotowej zasady konstrukcyjnej doszukać się tu niepodobna, i zastępuje ją wyłącznie sam prąd uczuciowy poety, istotnie jednolity; oto jest liryka epoki, żyjącej epigonizmem Bergsona. Kakofonia skojarzeń zacierają, niestety, wyborne partje pejzażowe, skrawki mocnego realizmu, wszystko, co

jest u Piętaka możliwością n o w e j e p i k i. Do tej epiki właśnie powołani są poeci pochodzenia chłopskiego, ich to jest zadaniem najbliższem, i na szczęście cel ten zaczynają sobie coraz dojrzalej uświadamiać (patrz w związku z tem artykuły Czernika w „Kamieniu”, oraz w „Okolicy Poetów”). Cała ta książka wygląda narazie tak, jakby ją ktoś półtrzęsawy układał: są to postrzępione rozdziały niedokończonego rapsodu. Być może, odgrywa tu znaczną rolę niewypowiedziana, lecz przebijająca się intencja autora: pragnie on świat na nowo k r e o w a ć, nie malować; na przeszkodzie staje mu, jak dotychczas, temperament nawskroś liryczny (przy dążnościach epickich: sprzeczność pozorna, często spoiykana, gdyż właśnie liryk z usposobienia dąży przedewszystkiem do uprzedmiotowienia siebie), oraz poprostu brak kośćca duchowego. Niepodobna przecież świata tworzyć na nowo, o ile przedtem nie potrafi się go, choćby instynktem, jakoś ocenić. A tu właśnie brak jest wszelkiej normy.

Mimo wszystko, co się rzekło, jest to talent niepospolity. Jeśli narzuci sobie karność, która w danym wypadku winna być niemal ascetyczna, czeka go przyszłość piękna i płodna. Tom kończy się bardzo pięknym akordem: „Witaj mi... nizinna, nieśmiertelna ziemio”. Jak Anteusz, jak syn marnotrawny, wrócić winien do dziedzictwa ojców. Ono napoi go zpowrotem siłami, zdartemi przez sprzeczności urbanistycznej kultury. I wtedy stworzy Piętaś tę ziemię, ziemię utraconą, za którą tęsknić nie przestaje, ziemię zmarłych-wstałą w wiekistej urodzie, — poematem, jej godnym.

Wprawdzie w drugim tomie wierszy nie zrywa Piętaś z dotychczasową manjerą, gdyż nie zmienia zasadniczo typu przeżywania, tem niemniej czyni znaczny krok ku wyzwoleniu. Koszmary, które go opętują, usiłuje opanować; mówi słusznie, acz nieco przedwcześnie jeszcze: „Dziś ja mam nad tobą władzę, o, Siło”. Zdaje sobie sprawę, że przymoc taka istnieje, że należy jej sprostać nie tylko aby móc przetrwać, ale bardziej jeszcze aby móc zacząć naprawdę być poetą. Tym razem nie są to wyłącznie halucynacje, jeno — jak zwie je, trafnem przeczcuciem powodowany autor — „legendy”, „mity młodości”; tej młodości, która mija, przelewając się zwolna i mozolnie w nadchodzącą dojrzałość. Piętaś ciągle jeszcze nie jest wypłatany z prątrzew, próbuje — w znaczeniu procesu psychicznego — powrócić do ziemi, która go „woła”, a freudyści nieprzypadkiem zabieg taki zwą powrotem do matki, którą symbolizuje wszelki otwarty przestwór. Proces ten

nie jest dokonany w pełni. „U r w a n e skrzydło wierzb” — ani przez chwilę nie uwierę, iż jest to awangardowość, czyli świadome, mniej lub bardziej, budowanie zdeformowanych elementów widzeniowych; nie, to raczej sama postawa psychiczna, niedość wyklarowana, ni jednolita, z m u s z a przewrażliwionego liryka do przeżywania jego wsiowej rzeczywistości w postaci strzępów, fragmentów, niedoksztalcen; oto czemu, nigdy prawie nie zdoła Piętaś całkować, brak tu jedności poza więzią czysto organiczną, czyli najbardziej prymitywną. W tym sensie są to wiersze barbarzyńcy, który przymocą usiłuje wychylić się na powierzchnię i raz po raz grzęźnie w obsesji. Ta żalosna tonacja opuszczenia, przebijająca z wszystkich zebranych tu utworów, jest w swej istocie nawskroś romantyczna: romantyzmem schorzonego chłopca.

Tam wszędzie, gdzie przywraca się ów związek z ziemią, gdzie nie jest on uwarunkowany fizjologicznie, gdzie nie jest on ucieczką „chłopca smaganego zmysłami” w pradzieje dzieciństwa, lecz przeciwnie: odrzuceniem dręczących przeżyć okresu pokwitania, by na ziemi tej ujrzeć się dorosłym i nareszcie silnie z nią zrośniętym, tam w próbach nowego epizmu otrzymujemy obrazy niepospolicie piękne, gdzie dalekie pobrzmiewają echa mickiewiczowskie; exempli modo: „bocian z żabami cicho klóci się o wieczór”. Lecz naogół ciągle jeszcze ów czysty ton elegji, do której tak bardzo powołany jest Piętaś, przebija się z trudem poprzez zamulenia wnętrza, jak widny uśmiech przecierających się niebios po ulewnym płaczu. Leitmotivem bowiem jego poezji, napoty wyklutej, jest zatracanie się jaźni, które

zarówno w doborze obrazów, jak w samym typie frazy poetyckiej każe mu używać chwytów typowo ekspresjonistycznych, jakich nie powstydziliby się niegdyś poznański „Zdrój” a wraz z nim lubująca się w przesadnym bełkocie twórczość poetycka lat bezpośrednio po wielkiej wojnie w chaosie błądzących, — szczególnie owoczesna liryka niemiecka. Tak „ekstacyjny” (bo nawet tego znamienne go epitetu nie brak tutaj) dytyrambizm ma podłoże nawskroś biologiczne, jest spontaniczny, pierwotny, chlustający krwią i rozpaczą. Charakteryzuje go — zarówno w przeżyciu jak w wyrazie — dążność do hiperboli odpowiednik braku umiaru.

Zasadniczo przeto w porównaniu z tomem pierwszym nic się nie zmieniło, lecz wiele wyglużowało; ważny to etap. Od szarpających szeptów wnętrza poeta z wolna kroczy ku wezwaniu ziemi: punkt ciężkości z siebie samego przerzucać zaczyna na świat otaczający; rzecz można, że zaczyna go dzisiaj dopiero o d k r y w a ć. Najpłodniejsze to na przyszłość, chociaż nieco spóźnione, odkrycie. „Zwycięstwo”, dłuższy utwór, tom zamykający, jest również początkiem zwycięstwa nad samym sobą; to też rezultaty są tu nieskończenie, dojrzałe od poprzednich, a odskok od dawniejszych utworów zadziwiająco duży. Jest to w samej rzeczy udatna próba poematu imaginacyjno - społecznego o krzywdzie chłopskiej, znacznie jedrniejsza od tych, które z takim nakładem pomysłowych aluzji nie przestaje kleić zakochany w swej niepopularności Czuchnowski: coś pośredniego między rapsodem a balladą z nowością pięknych prawdziwie i odkrywczych obrazów. Oto jest próg przełomu.

Stefan Napierski

Druk numeru ukończono 2 grudnia 1935 r.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Chmielna 33 m. 5.

Tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 518.

Godziny urzędowe Redakcji od 11 — 15.

Godziny urzędowe Administracji od 9 — 15.

Prenumerata: rocznie zł. 20.—, półrocznie zł. 10.—, kwartalnie zł. 5.—.

Zagraniczna kwartalna zł. 6,50.

Cena numeru pojedynczego zł. 2.—, podwójnego zł. 3.—.

Redaktor: WILAM HORZYCA

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW PODWYSOCKI

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80 i 635-83.

